

Nie wierzę w cuda – oznajmiła Karen, spoglądając na swoją szwagierkę, siedzącą naprzeciwko z zaciśniętymi ustami.

Na nieumalowaną twarz Karen padły promienie słońca, upodabniając ją do polaroidowych zdjęć, robionych modelkom tuż przed nałożeniem makijażu. Jego brak uwydatniał nieskazitelną cerę, pięknie wysklepione kości policzkowe i intrygujący, szmaragdowy odcień oczu.

– Jak do tej pory ani słowem nie wspomniałam o cudach – odparła Ann poirytowanym tonem.

W odróżnieniu od jasnowłosej Karen, Ann była brunetką, teraz już o bardzo obfitych kształtach, niższą od bratowej o dobre piętnaście centymetrów.

– Powiedziałaś jedynie, że powinnaś iść do country klubu na bożonarodzeniowy bal. Co to ma wspólnego z cudami?

– Powiedziałaś też, że może wreszcie spotkam kogoś wyjątkowego i ponownie wyjdę za mąż – przypomniała Karen, odsuwając od siebie wizję wypadku samochodowego, w którym stracił życie jej ukochany mąż.

– Och, przepraszam unieżenie. Czy laskawie oszczędzisz mi plutonu egzekucyjnego?

Spoglądając spod przymrużonych powiek na swoją onegdaj piękną bratową, Ann wprost nie mogła uwierzyć, że jeszcze parę lat temu na jej widok umierała z zazdrości. Teraz włosy Karen – rozdzwajające się niemal do połowy długości – opadały na plecy żalonymi strąkami. Twarz bez makijażu wydawała się bezbarwna, a w miejsce eleganckich, doskonale skrojonych strojów pojawił się rozciągnięty dres, należący do zmarłego męża – Raya.

– Swego czasu byłaś najwspanialszą dziewczyną w naszym

country klubie – w zamysleniu ciągnęła Ann. – Pamiętam, jak w pewne Boże Narodzenie tańczyliście z Rayem. Miałas na sobie wystrzałową czerwoną suknię z rozcięciem niemal po szyję. Jak wspaniale wówczas wyglądaliście! Na widok twoich nóg mężczyźni natychmiast zaczynali się ślinić! Chyba każdy facet w Denver z miejsca tracił zmysły! Z wyjątkiem mojego Charliego, oczywiście. On nigdy nie oglądał się za innymi kobietami.

Karen uśmiechnęła się blado znad filiżanki.

– Kluczowymi słowami są tutaj: „dziewczyna” i „Ray”. Rzecz w tym, że jedno i drugie należą do przeszłości.

– Och, oszczędź mi tych bredni – jęknęła Ann. – Mówisz, jakbyś była staruszką po dziewięćdziesiątce, której nie pozostało już nic poza wyborem trumny. A tymczasem dopiero przekroczyłaś trzydziestkę. Ja w tym roku skończyłam trzydzieści pięć – i tylko popatrz!

Ann ciężko uniosła się z krzesła i z ręką przyciśniętą do pleców poczłapała w stronę kuchenki, by przygotować sobie kolejną filiżankę ziołowej herbaty. Była już w bardzo zaawansowanej ciąży: miała tak wielki brzuch, że z trudnością sięgała po czajnik.

– OK, niech ci będzie – odrzekła Karen. – W gruncie rzeczy wiek nie ma tutaj większego znaczenia. Problem polega na tym, że nic już nie zwróci mi Raya. – Wypowiedziała imię męża z takim uwielbieniem, jakby mówiła o bóstwie.

Ann westchnęła głęboko, zmęczona sprzeczką, którą powtarzały już co najmniej ze sto razy.

– Posłuchaj Karen. Ray był moim bratem, bardzo go kochałam, ale on nie żyje już od dwóch lat. Czas, byś wreszcie zajęła się własną przyszłością.

– Ty nic nie rozumiesz. Ray i ja – my po prostu...

Z wyrazem współczucia na twarzy Ann sięgnęła ręką przez stół i chwyciła bratową za nadgarstek.

– Wiem, że był dla ciebie wszystkim, ale przecież masz jeszcze tak wiele do zaoferowania światu! I jakiemuś żyjącemu mężczyźnie!

– Nie! – rzuciła Karen ostrym głosem. – Żaden człowiek nigdy nie zastąpi mi Raya! – Gwałtownie poderwała się z krzesła i podszła do okna. – Nikt nie jest w stanie tego pojąć! Ray i ja... Łączyło nas zdecydowanie więcej niż tylko małżeństwo. Byliśmy prawdziwymi partnerami – dzieliliśmy się wszystkim. Ray pytał o moje zdanie w każdej sprawie – począwszy od ważnych decyzji biznesowych, aż po wybór koloru skarpetek...

i potrzebna. Czy to rozumiesz? Każdy mężczyzna, którego spotkałam, przed czy po nim, wyznawał zasadę: „Bądź piękna i milcz”. Gdy tylko próbowałam wygłosić jakąkolwiek własną opinię, natychmiast prosił kelnera o rachunek.

Ann nie miała kontrargumentów, bo przecież na własne oczy widziała, jak niezwykle udane było małżeństwo Karen i Raya. Tyle że nie mogła już dłużej patrzeć, jak bliska jej sercu bratowa ucieka od życia. Z tego też powodu była ostatnią osobą, zamierzającą utwierdzać Karen w przekonaniu, że zapewne nigdy nie znajdzie mężczyzny, który choć w połowie mógłby dorównać zmarłemu mężowi.

– No dobrze – rzuciła z rezygnacją. – Nie będę ci więcej trula. Jeżeli postanowiłaś popełnić sati dla Raya, nic nie mogę na to poradzić. Zmieńmy temat. Opowiedz mi, co słyhać w tej twojej pracy.

Ton głosu Ann jednoznacznie wyrażał, co sądzi o zarobkowej działalności szwagierki.

Karen odwróciła się od okna i wybuchnęła śmiechem.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości co do twoich poglądów także i w tej sprawie. Najpierw nie podobało ci się, że kochałam męża, a teraz z kolei masz krytyczny stosunek do mojej pracy.

– OK. Wytocz mi za to proces. Tak czy owak, stać cię na więcej niż dozgonne wdowieństwo i bezmyślne stukanie w klawiaturę.

Karen nie potrafiła się gniewać na szwagierkę – dobrze wiedziała, że Ann ma o niej wysokie mniemanie i to wcale nie z powodu łączących je więzów rodzinnych.

– W mojej pracy wszystko w porządku – zapewniła ją, ponownie zasiadając za stołem. – Nikomu nic nie dolega, rzeczy toczą się naturalnym rytmem.

– Aż tak nudno?

– Nie aż tak – odparła ze śmiechem. – Tylko trochę.

– Czemu więc stamtąd nie odejdziesz? – Zanim Karen zdążyła odpowiedzieć, Ann uniosła dłoń. – Przepraszam. To rzeczywiście nie moja sprawa. Jeżeli ze swoją błyskotliwością i inteligencją postanowiłaś utknąć w biurze i do końca życia przepisywać sterty dokumentów – nie pozostało mi nic do dodania. Może więc dla odmiany powiesz mi, co słyhać u twojego boskiego szefa? Jak się miewa nasz przystojniak?

Karen zupełnie zignorowała pytanie o McAllistera Taggerta.

– W zeszłym tygodniu dostałam prezent urodzinowy od mojego brata...

zawsze wygłaszała zgryźliwe uwagi pod adresem sześciu kobiet pracujących wraz z Karen.

- Doprawdy? I co ci podarowały? Ręcznie dziergany szal czy może fotel na biegunach i parę kotów na dokładkę?

- Rajstopy na żylaki - odrzekła Karen, zaraz jednak się roześmiała. - Nie, nie. Zartuję. Prawdę mówiąc zrzuciły się i kupiły mi bardzo ładny prezent.

- A mianowicie?

Karen upiła łyk herbaty.

- Łańcuszek do okularów.

- Co takiego?

- No wiesz, taki łańcuszek, do którego mocuje się okulary - wytłumaczyła Karen z figlarnym błyskiem w oku. - A potem zawiesza na szyi. Mój jest z osiemnastokaratowego złota. A zamocowania są... hm... w kształcie małych kotków.

Ann nawet się nie uśmiechnęła.

- Karen, uciekaj stamtąd jak najszybciej. Suma wieku tych kobiet musi wynosić jakieś trzysta lat. Czyżby doprawdy nie spostrzegły, że nie używasz okularów?

- Trzysta siedemdziesiąt siedem.

Kiedy Ann spojrzała na nią pytająco, Karen wyjaśniła:

- Ich łączny wiek to trzysta siedemdziesiąt siedem lat. Kiedyś policzyłam. Powiedziały, że wiedzą, iż nie noszę okularów, ale ponieważ stuknęła mi już trzydziestka, wkrótce będę ich potrzebować.

- No cóż, z racji tak niezwykle zaawansowanego wieku w najbliższym czasie spodziewaj się rajstopy na żylaki.

- Prawdę mówiąc, dostałam już jedną parę w zeszłym roku na Boże Narodzenie. Od panny Johnson. Ma siedemdziesiąt jeden lat i daje głowę za ich skuteczność.

Tym razem Ann nie zdołała już zachować powagi.

- Och, Karen. Naprawdę musisz stamtąd odejść.

- Uhm - mruknęła Karen, wbijając spojrzenie w filizankę. - Nie da się jednak ukryć, że ta praca ma również swoje dobre strony.

- Co ty właściwie knujesz? - Ann była wyraźnie zaintrygowana.

Karen posłała jej spojrzenie niewiniątka.

- Nie mam pojęcia o czym mówisz.

Ann rozparła się wygodnie na krześle i przez chwilę z uwagą przyglądała bratowej.

- W końcu coś zaczyna do mnie docierać. Posłuchaj mnie, Karen Lawrence, jeśli nie powiesz mi wszystkiego i nie zrobisz tego

natychmiast, obmyślę dla ciebie jakąś straszną karę. Na przykład nie pozwolę ci się zbliżyć do mojego dziecka, póki nie skończysz trzech lat.

Kiedy Karen zbladła gwałtownie, Ann wiedziała, że wygrała.

- No już! Gadaj!

- To przyjemna praca, a ludzie, z którymi pracuję...

Nagle twarz szwagierki się rozjaśniła.

- Czas najwyższy, żebyś przestała odgrywać przede mną męczennicę. Nie zapominaj, że znam cię od czasu, gdy skończyłaś osiem lat. Zgadzasz się brać na siebie wszystkie obowiązki tych starych kwok, żeby dokładnie wiedzieć, co się dzieje w firmie. Założę się, że wiesz o niej więcej od samego Taggerta. - Ann uśmiechnęła się triumfalnie, dumna z własnej przenikliwości. - Celowo też przestałaś dbać o swój wygląd, by nikogo nie onieśmielać urodą. Gdyby ta jędza, Grisham, zobaczyła, jak wyglądałaś parę lat temu, natychmiast znalazłaby jakiś powód, żeby cię zwolnić.

Jedno spojrzenie na zarumienioną twarz Karen powiedziało Ann, że trafiła w dziesiątkę.

- Mimo to ciągle czegoś nie rozumiem - Ann nie poddawała się łatwo. - Czemu nie znajdziesz sobie lepiej płatnego zajęcia niż posada podrzędnej sekretarki?

- Próbowałam! - odparła porywczo Karen. - Składałam podania w dziesiątkach miejsc, ale nikt nie chciał ich nawet rozpatrzyć, bo nie mam wyższego wykształcenia. Osiem lat zarządzania dużym sklepem nic nie znaczy dla dyrektorów działów personalnych.

- No tak, ostatecznie tylko czterokrotnie zwiększyłaś zyski tego sklepu.

- To nieważne. Liczy się jedynie papier, stwierdzający, że strawiłam kilka lat życia na wysłuchiwanie nudnych wykładów.

- Czemu więc nie zapiszesz się do jakieś szkoły i nie zdobędziesz tego papieru?

- Ależ ja chodzę do szkoły! - Karen wypiła kilka kolejnych łyków herbaty, by się uspokoić. - Słuchaj, Ann. Rozumiem, że chcesz dla mnie jak najlepiej, ale uwierz mi, ja wiem, co robię. Doskonale zdaję sobie sprawę, że już nigdy w życiu nie spotkam takiego mężczyzny jak Ray - mężczyzny, z którym wspólnie mogłabym pracować - próbuję więc nauczyć się jak najwięcej, bo w przyszłości zamierzam otworzyć własny interes. Mam pieniądze ze sprzedaży udziałów Raya w sklepie, a poza tym udaje mi się zaoszczędzić niemal wszystko, co teraz zarabiam. Jednocześnie nie ustannie się uczę, jak zarządzać przedsiębiorstwem wielkości fir-

my Taggerta. – Karen uśmiechnęła się lekko. – Nie jestem tak naiwna, jak sądzą moje mile staruszki. Wydaje im się, że mnie wykonywają, ale w gruncie rzeczy starannie wybieram papiery, które rzysztują, ale w gruncie rzeczy starannie wybieram papiery, które zgadzam się za nie przepisywać. Każdy ważny dokument z każdego działu przechodzi przez moje biurko. A ponieważ mam czas, by pracować w weekendy i święta, doskonale orientuję się w całości spraw.

– A jak zamierzasz spożytkować tę wiedzę?

– Już ci mówiłam: chcę otworzyć coś własnego. Interesuje mnie sprzedaż detaliczna. Na tym przecież znam się najlepiej, chociaż nie jestem pewna, czy poradzę sobie bez Raya.

– Dlatego najwyższy czas, żebyś ponownie wyszła za mąż! – oświadczyła stanowczo Karen.

– Ale ja nie chcę ponownie wychodzić za mąż! – Ostatnim wysiłkiem woli Karen powstrzymała się od wrzasku. – Zamierzam jedynie zająć w ciąży!

Gdy tylko zdała sobie sprawę z własnych słów, spojrzała z przerażeniem na szwagierkę.

– Proszę, zapomnij, że to powiedziałam – wyszeptała. – Słuchaj, muszę już lecieć. Mam kilka spraw...

– Jeżeli ruszysz się z tego miejsca, przyplacisz to życiem – oznajmiła Ann beznamiętnym tonem.

Z ciężkim westchnieniem Karen opadła z powrotem na wyściełane krzesło.

– Nie rób mi tego. Proszę cię, Ann.

– To znaczy czego? – spytała tamta tonem niewiniątka.

– Nie zabawiaj się w psa policyjnego, nie przypieraj mnie do muru – jednym słowem nie tykaj nosa w nie swoje sprawy.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nigdy w życiu nie posunęłabym się do czegoś podobnego. A teraz natychmiast wszystko mi opowiedz.

Karen podjęła heroiczną próbę zmiany tematu.

– W zeszłym tygodniu kolejna blond piękność wypadła z gabinetu Taggerta cała we łzach – powiedziała, patrząc wymownie na Ann, która zdawała się mieć obsesję na punkcie tego faceta. Choć Karen nie miała wątpliwości, że gdyby szwagierka poznała bliżej jej szefa, natychmiast przestałaby się nim tak zachwycać.

– Co miałaś na myśli, mówiąc: „zamierzam zająć w ciąży”? – Ann nie dawała za wygraną.

– Godzinę po jej wyjściu do gabinetu Taggerta wkroczył jubiler z neseserem pod pachą i dwoma ochroniarzami u boku. Żadna

z nas nie miała wątpliwości, że szef postanowił osuszyć lzy swojej „eks” drobnym naszyjnikiem ze szmaragdów.

– Czy poczyniłaś już jakieś kroki, żeby zająć w tę ciążę?

– A nie dalej jak w piątek dowiedziałyśmy się, że Taggert jest ponownie zaręczony. Ale nie z tą samą kobietą, która wybiegła z jego gabinetu. Ta nowa ma rude włosy. – Karen pochyliła się konfidencjonalnie w stronę szwagierki. – Wyobraź sobie, że w sobotę przepisywałam ich intercyzę.

To w końcu przykuło uwagę Ann.

– I co w niej było?

Karen z powrotem opadła na oparcie z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

– To wyjątkowy sukinsyn, Ann. Nie żartuję. Wiem, że jest nieprzytomnie przystojny i obłędnie bogaty, ale jako człowiek niewiele sobą reprezentuje. Zdaję sobie sprawę, że te... te piękności głównie lecą na jego pieniądze – bo też nie sposób lubić kogoś podobnego – ostatecznie jednak to ludzkie istoty, więc nie powinno się ich tak poniżać.

– Czy możesz wreszcie skończyć swoje kazanie i powiedzieć, co było w tej intercyzie?

– Jego narzeczona musiała podpisać zgodę, że zrzeka się prawa własności do wszelkich dóbr, które zostaną nabyte w czasie trwania małżeństwa. W wypadku rozwodu będzie musiała mu zostawić wszystko bez wyjątku – nawet ubrania, które dostanie.

– Naprawdę? A co on zamierza począć z babskimi ciuchami?

– Zapewne nic szczególnego. Znając go, natychmiast znajdzie kolejną interesowną piękność o odpowiednich wymiarach. A może sprzeda je, by kupić kasetę pełną pierścionków zaręczynowych. Biorąc pod uwagę częstotliwość, z jaką je rozdaje, byłoby to bardzo praktyczne rozwiązanie.

– Czemu tak bardzo go nie lubisz? – spytała Ann. – Przecież od razu cię zatrudnił.

– O, tak. W jego firmie wprost roi się od kobiet. Niewątpliwie wydał zarządzenie działowi personalnemu, by za podstawowe kryterium przydatności do pracy przyjąć długość nóg. Prawie wszystkie kierownicze stanowiska są obsadzone przez piękne kobiety.

– I co w tym złego?

– To, że praktycznie nie pozwala im nic robić! – odparła z pasją Karen. – On z nikim nie konsultuje żadnej swojej decyzji. O ile mi wiadomo, nawet nie raczy spytać tych piękności, czy w ogóle mają coś do roboty, a sam nigdy niczego im nie zleca. – Zaciśnęła z całej siły dłoń na uszku filiżanki. – McAllister Taggert równie dobrze

my Taggerta. – Karen uśmiechnęła się lekko. – Nie jestem tak naiwna, jak sądzą moje miłe staruszki. Wydaje im się, że mnie wykończą, ale w gruncie rzeczy starannie wybieram papiery, które rzystują, ale w gruncie rzeczy starannie wybieram papiery, które zgadzam się za nie przepisywać. Każdy ważny dokument z każdego działu przechodzi przez moje biurko. A ponieważ mam czas, by pracować w weekendy i święta, doskonale orientuję się w całości spraw.

– A jak zamierzasz spożytkować tę wiedzę?

– Już ci mówiłam: chcę otworzyć coś własnego. Interesuje mnie sprzedaż detaliczna. Na tym przecież znam się najlepiej, chociaż nie jestem pewna, czy poradzę sobie bez Raya.

– Dlatego najwyższy czas, żebyś ponownie wyszła za mąż! – oświadczyła stanowczo Karen.

– Ale ja nie chcę ponownie wychodzić za mąż! – Ostatnim wysiłkiem woli Karen powstrzymała się od wrzasku. – Zamierzam jedynie zająć w ciąży!

Gdy tylko zdała sobie sprawę z własnych słów, spojrzała z przerażeniem na szwagierkę.

– Proszę, zapomnij, że to powiedziałam – wyszeptala. – Słuchaj, muszę już lecieć. Mam kilka spraw...

– Jeżeli ruszysz się z tego miejsca, przypłacisz to życiem – oznajmiła Ann beznamiętnym tonem.

Z ciężkim westchnieniem Karen opadła z powrotem na wyściełane krzesło.

– Nie rób mi tego. Proszę cię, Ann.

– To znaczy czego? – spytała tamta tonem niewiniątka.

– Nie zabawiaj się w psa policyjnego, nie przypieraj mnie do muru – jednym słowem nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nigdy w życiu nie posunęłabym się do czegoś podobnego. A teraz natychmiast wszystko mi opowiedz.

Karen podjęła heroiczną próbę zmiany tematu.

– W zeszłym tygodniu kolejna blond piękność wypadła z gabinetu Taggerta cała we łzach – powiedziała, patrząc wymownie na Ann, która zdawała się mieć obsesję na punkcie tego faceta. Choć Karen nie miała wątpliwości, że gdyby szwagierka poznała bliżej jej szefa, natychmiast przestałaby się nim tak zachwycać.

– Co miałaś na myśli, mówiąc: „zamierzam zająć w ciąży”? – Ann nie dawała za wygraną.

– Godzinę po jej wyjściu do gabinetu Taggerta wkroczył jubiler z neseserem pod pachą i dwoma ochroniarzami u boku. Żadna

z nas nie miała wątpliwości, że szef postanowił osuszyć lzy swojej „eks” drobnym naszyjnikiem ze szmaragdów.

– Czy poczyniłaś już jakieś kroki, żeby zająć w tę ciążę?

– A nie dalej jak w piątek dowiedziałyśmy się, że Taggert jest ponownie zaręczony. Ale nie z tą samą kobietą, która wybiegła z jego gabinetu. Ta nowa ma rude włosy. – Karen pochyliła się konfidencjonalnie w stronę szwagierki. – Wyobraź sobie, że w sobotę przepisywałam ich intercyzę.

To w końcu przykuło uwagę Ann.

– I co w niej było?

Karen z powrotem opadła na oparcie z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

– To wyjątkowy sukinsyn, Ann. Nie żartuję. Wiem, że jest nieprzytomnie przystojny i obłędnie bogaty, ale jako człowiek niewiele sobą reprezentuje. Zdaję sobie sprawę, że te... te piękności głównie lecą na jego pieniądze – bo też nie sposób lubić kogoś podobnego – ostatecznie jednak to ludzkie istoty, więc nie powinno się ich tak poniżać.

– Czy możesz wreszcie skończyć swoje kazanie i powiedzieć, co było w tej intercyzie?

– Jego narzeczona musiała podpisać zgodę, że zrzeka się prawa własności do wszelkich dóbr, które zostaną nabyte w czasie trwania małżeństwa. W wypadku rozwodu będzie musiała mu zostawić wszystko bez wyjątku – nawet ubrania, które dostanie.

– Naprawdę? A co on zamierza począć z babskimi ciuchami?

– Zapewne nic szczególnego. Znając go, natychmiast znajdzie kolejną interesowną piękność o odpowiednich wymiarach. A może sprzeda je, by kupić kasetę pełną pierścionków zaręczynowych. Biorąc pod uwagę częstotliwość, z jaką je rozdaje, byłoby to bardzo praktyczne rozwiązanie.

– Czemu tak bardzo go nie lubisz? – spytała Ann. – Przecież od razu cię zatrudnił.

– O, tak. W jego firmie wprost roi się od kobiet. Niewątpliwie wydał zarządzenie działowi personalnemu, by za podstawowe kryterium przydatności do pracy przyjąć długość nóg. Prawie wszystkie kierownicze stanowiska są obsadzone przez piękne kobiety.

– I co w tym złego?

– To, że praktycznie nie pozwala im nic robić! – odparła z pasją Karen. – On z nikim nie konsultuje żadnej swojej decyzji. O ile mi wiadomo, nawet nie raczy spytać tych piękności, czy w ogóle mają coś do roboty, a sam nigdy niczego im nie zleca. – Zacisnęła z całej siły dłoń na uszku filizanki. – McAllister Taggert równie dobrze

mógłby mieszkać samotnie na bezludnej wyspie. Zdaje się, że do życia nie potrzebuje nikogo poza sobą.

- Z tego, co mówiłaś, jasno wynika, że potrzebuje kobiet - wtrąciła Ann.

Dwukrotnie spotkała szefa Karen i za każdym razem była nim oczarowana.

- To typowy amerykański playboy - ciągnęła Karen. - Kobiety ocenia jedynie na podstawie długości nóg i włosów. Piękna kretyńska - oto model, w którym gustuje najbardziej. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Choć jak do tej pory żadna nie okazała się na tyle głupia, by go poślubić. Szybko odkrywały, że jedyną korzyścią z tego małżeństwa byłoby posiadanie męża.

- No cóż... - Ann wyczuła narastający gniew bratowej. - Przejdźmy do bardziej interesującego tematu. Jak zamierzasz zająć w ciąży, jeśli uciekasz przed każdym facetem, który choćby rzuci na ciebie okiem? Rozumiem, że twój obecny styl ubierania się także ma na celu odstraszenie mężczyzn?

- Rany! Pyszna ta herbata - stwierdziła entuzjastycznie Karen. - Naprawdę, jesteś wspaniałą gospodynią, Ann, a nasze spotkanie sprawiło mi niebywałą przyjemność, ale teraz muszę już iść... - Zerwała się z krzesła i ruszyła w stronę drzwi.

- Aaaa! - wrzasnęła Ann. - Zaczyna się! Rodzę! Pomocy!

Karen z pobielającą twarzą podbiegła do szwagierki.

- Oprzyj się. Odpocznij. Dzwonię do szpitala!

Gdy tylko jednak chwyciła za słuchawkę, Ann oznajmiła najzwyczajszym tonem:

- Nagły skurcz. Już mi przeszło. Myślę jednak, że powinnaś posiedzieć przy mnie, dopóki Charlie nie wróci do domu. No wiesz, tak na wszelki wypadek.

Karen posłała jej gniewne spojrzenie, lecz szybko się poddała i z powrotem opadła na krzesło.

- No dobrze, czego właściwie chcesz się dowiedzieć?

- Zupełnie nie rozumiem dlaczego, ale ostatnio wyjątkowo fascynuje mnie temat dzieci. To musi mieć jakiś związek z moją dietą. W każdym razie, gdy wspomniałaś o dziecku, natychmiast rozbudziłaś moją ciekawość.

- W tym nie ma absolutnie nic interesującego. Naprawdę. Ja jedynie...

- Ty jedynie co? - naciskała Ann.

- Bardzo żałuję, że nie zdecydowaliśmy się z Rayem na dzieci. Zawsze nam się wydawało, że mamy na to jeszcze wiele czasu...

Tym razem Ann siedziała cicho, czekając cierpliwie, aż Karen sama podejmie wątek.

- Niedawno poszłam do kliniki specjalizującej się w sztucznym zapłodnieniu i zrobiłam wszystkie konieczne badania. Okazuje się, że jestem okazem zdrowia.

Kiedy Karen zamilkła na dobre, Ann spytała cicho:

- Poszłaś więc do tej kliniki i co dalej?

- Mam wybrać dawcę z katalogu.

Wrodzone poczucie humoru sprawiło, że Ann nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

- A jak już go wybierzesz, dostaniesz małe co nieco na wynos i potem...

Karen spiorunowała ją spojrzeniem.

- Możesz sobie pozwolić na kpiny, bo masz kochającego męża, który załatwi sprawę, ale co ja mam zrobić? Zamieścić ogłoszenie w gazecie? „Młoda wdowa, która pragnie dziecka, ale nie chce męża, szuka dawcy spermy. Skrytka 356”.

- Gdybyś więcej ruszała się z domu, miałabyś okazję poznać jakiegoś mężczyznę, który mógłby się okazać... - Ann urwała gwałtownie, bo spostrzegła, że Karen popada w coraz większą irytację. - Słuchaj, uważam, że powinnaś poprosić tego przystojniaka, twojego szefa, by wyświadczył ci tę drobną przysługę.

Karen zamierzała zachować gniewną minę, ale upór Ann w końcu ją rozbroił.

- „Panie Taggert - zaczęła aktorsko słodkim głosem. - Czy zamiast podwyżki nie zechciałby pan ofiarować mi nieco spermy? Mam tutaj odpowiednie naczynie... Ależ skąd, nie mam nic przeciwko temu, żeby chwilę poczekać”.

Ann uśmiechnęła się szeroko, bo przez chwilę miała znów przed sobą dawną, wesołą Karen, a to od dwóch lat zdarzało się bardzo rzadko.

- Zgodnie ze starannymi wycenieniami mój najbardziej płodny dzień przypada na Boże Narodzenie, może więc spokojnie poczekam na Świętego Mikołaja.

- Na pewno wolałby twoją propozycję od tradycyjnego mleka i ciasteczek - uznała Ann. - Czy nie miałabyś jednak wyrzutów sumienia wobec tych wszystkich dzieci, których by nie odwiedził, gdyby większą część nocy spędził w twoim domu? Zaczęła zaśmiawać się tak szaleńczo z własnego dowcipu, że w końcu wydała z siebie histeryczny okrzyk.

- To nie było aż tak śmieszne - zawyrokowała Karen. - Może

mógłby mieszkać samotnie na bezludnej wyspie. Zdaje się, że do życia nie potrzebuje nikogo poza sobą.

- Z tego, co mówiłaś, jasno wynika, że potrzebuje kobiet - wtrąciła Ann.

Dwukrotnie spotkała szefa Karen i za każdym razem była nim oczarowana.

- To typowy amerykański playboy - ciągnęła Karen. - Kobiety ocenia jedynie na podstawie długości nóg i włosów. Piękna kretyńska - oto model, w którym gustuje najbardziej. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Choć jak do tej pory żadna nie okazała się na tyle głupia, by go poślubić. Szybko odkrywały, że jedyną korzyścią z tego małżeństwa byłoby posiadanie męża.

- No cóż... - Ann wyczuła narastający gniew bratowej. - Przejdźmy do bardziej interesującego tematu. Jak zamierzasz zająć w ciąży, jeśli uciekasz przed każdym facetem, który choćby rzuci na ciebie okiem? Rozumiem, że twój obecny styl ubierania się także ma na celu odstraszenie mężczyzn?

- Rany! Pyszna ta herbata - stwierdziła entuzjastycznie Karen. - Naprawdę, jesteś wspaniałą gospodynią, Ann, a nasze spotkanie sprawiło mi niebywałą przyjemność, ale teraz muszę już iść... - Zerwała się z krzesła i ruszyła w stronę drzwi.

- Aaaa! - wrzasnęła Ann. - Zaczyna się! Rodzę! Pomocy!

Karen z pobielalą twarzą podbiegła do szwagierki.

- Oprzyj się. Odpocznij. Dzwonię do szpitala!

Gdy tylko jednak chwyciła za słuchawkę, Ann oznajmiła najzwyczajszym tonem:

- Nagły skurcz. Już mi przeszło. Myślę jednak, że powinnaś posiedzieć przy mnie, dopóki Charlie nie wróci do domu. No wiesz, tak na wszelki wypadek.

Karen posłała jej gniewne spojrzenie, lecz szybko się poddała i z powrotem opadła na krzesło.

- No dobrze, czego właściwie chcesz się dowiedzieć?

- Zupełnie nie rozumiem dlaczego, ale ostatnio wyjątkowo fascynuje mnie temat dzieci. To musi mieć jakiś związek z moją dietą. W każdym razie, gdy wspomniałaś o dziecku, natychmiast rozbudziłaś moją ciekawość.

- W tym nie ma absolutnie nic interesującego. Naprawdę. Ja jedynie...

- Ty jedynie co? - naciskała Ann.

- Bardzo żałuję, że nie zdecydowaliśmy się z Rayem na dzieci. Zawsze nam się wydawało, że mamy na to jeszcze wiele czasu...

Tym razem Ann siedziała cicho, czekając cierpliwie, aż Karen sama podejmie wątek.

- Niedawno poszłam do kliniki specjalizującej się w sztucznym zapłodnieniu i zrobiłam wszystkie konieczne badania. Okazuje się, że jestem okazem zdrowia.

Kiedy Karen zamilkła na dobre, Ann spytała cicho:

- Poszłaś więc do tej kliniki i co dalej?

- Mam wybrać dawcę z katalogu.

Wrodzone poczucie humoru sprawiło, że Ann nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

- A jak już go wybierzesz, dostaniesz małe co nieco na wynos i potem...

Karen spiorunowała ją spojrzeniem.

- Możesz sobie pozwolić na kpiny, bo masz kochającego męża, który załatwi sprawę, ale co ja mam zrobić? Zamieścić ogłoszenie w gazecie? „Młoda wdowa, która pragnie dziecka, ale nie chce męża, szuka dawcy spermy. Skrytka 356”.

- Gdybyś więcej ruszała się z domu, miałabyś okazję poznać jakiegoś mężczyznę, który mógłby się okazać... - Ann urwała gwałtownie, bo spostrzegła, że Karen popada w coraz większą irytację. - Słuchaj, uważam, że powinnaś poprosić tego przystojniaka, twojego szefa, by wyświadczył ci tę drobną przysługę.

Karen zamierzała zachować gniewną minę, ale upór Ann w końcu ją rozbroił.

- „Panie Taggart - zaczęła aktorsko słodkim głosem. - Czy zamiast podwyżki nie zechciałby pan ofiarować mi nieco spermy? Mam tutaj odpowiednie naczynie... Ależ skąd, nie mam nic przeciwko temu, żeby chwilę poczekać”.

Ann uśmiechnęła się szeroko, bo przez chwilę miała znów przed sobą dawną, wesołą Karen, a to od dwóch lat zdarzało się bardzo rzadko.

- Zgodnie ze starannymi wyliczeniami mój najbardziej płodny dzień przypada na Boże Narodzenie, może więc spokojnie poczekam na Świętego Mikołaja.

- Na pewno wolałby twoją propozycję od tradycyjnego mleka i ciasteczek - uznała Ann. - Czy nie miałabyś jednak wyrzutów sumienia wobec tych wszystkich dzieci, których by nie odwiedził, gdyby większą część nocy spędził w twoim domu? Zaczęła zaśmiewać się tak szaleńczo z własnego dowcipu, że w końcu wydała z siebie histeryczny okrzyk.

- To nie było aż tak śmieszne - zawyrokowała Karen. - Może

w takim razie pomocnicy Mikołaja mogliby... Ann? Wszystko w porządku?

- Dzwon po Charliego - jęknęła szwagierka, łapiąc się za wielki brzuch.

Kiedy chwilę później nadszedł kolejny, gwałtowny skurcz, wykrzyknęła:

- Do diabła z Charliem! Dzwon do szpitala i każ im natychmiast ściągnąć nowy transport morfiny. To cholernie boli!

Karen podbiegła do telefonu i drżącą ręką wystukała numer.

- Ty idiotko! - wyszeptala Karen, spoglądając na swoje odbicie w lustrze. Urwała kawałek papierowego ręcznika wiszącego na ścianie w biurowej łazience i osuszyła łzy. Miała mocno zaczerwienione oczy, czemu trudno się było dziwić, skoro płakała niemal bez przerwy od dwudziestu czterech godzin.

- Każdy płacze, kiedy rodzi się dziecko - mruknęła nie wiadomo do kogo. - Ludzie płaczą ze szczęścia - tak samo jak na ślubach czy przy ogłaszaniu zaręczyn.

Wpatrywała się w lustro i powtarzała te słowa, choć w głębi duszy dobrze wiedziała, że się oszukuje. Zeszłego wieczoru, trzymając w ramionach nowo narodzoną córeczkę Ann, tak bardzo pragnęła, by było to jej własne dziecko, że niewiele brakowało, a wyszłaby z nią ze szpitala. Marszcząc gwałtownie brwi, Ann odebrała jej małeństwo.

- O, nie. Nie oddam ci mojego dziecka. Musisz urodzić sobie własne.

By pokryć zmieszanie, Karen próbowała żartować z własnych uczuć, lecz nieszczęśliwie jej to wychodziło, szybko więc wyszła ze szpitalnej izolátky. Od chwili śmierci Raya nie czuła się równie podle. Nigdy wcześniej nie ogarniała ją tak wielka tęsknota za posiadaniem własnej rodziny.

Kiedy po raz kolejny wycierała łzy, usłyszała zbliżające się głosy i bez zastanowienia wskoczyła do kabiny, zamykając za sobą drzwi. Nie chciała, by ktoś ją widział w takim stanie. Dzisiaj w biurze odbywało się doroczne przyjęcie bożonarodzeniowe i każdego wprost rozsądzał dobry humor. Perspektywa darmowych drinków oraz wręczone z samego rana premie świąteczne zamieniły korporację Montgomery-Taggert w istny kocioł pełen niepohamowanej wesołości.

Nastrój Karen - już wystarczająco podły - jeszcze się pogorszył, gdy zdała sobie sprawę, że jedną z dwóch kobiet, które weszły do

łazienki, była Loretta Simons, uważająca się za głównego eksperta w dziedzinie „McAllister Taggert”. Karen znalazła się w pułapce - nie mogła wyjść, bo Loretta natychmiast złapałaby ją za rękaw i zmusiła do wysłuchania opowieści o kolejnych cudach, jakich dokonał ów niemal święty człowiek.

- Czy już go widziałas? - spytała swoją rozmówczynię nabożnym tonem, jaki większość ludzi rezerwowała dla cudów Kaplicy Sykstyńskiej. - To najwspanialszy mężczyzna na świecie: wysoki, przystojny, wyrozumiały, serdeczny.

- A ta dziewczyna dzisiaj rano? - zapytała druga kobieta.

Jeżeli nic nie wiedziała na temat Taggerta, to zapewne była nową asystentką z działu zarządzania, którą Loretta właśnie postanowiła wprowadzić w tajniki firmy.

- Ona chyba nie uznała go za tak bardzo wspaniałego.

Ukryta w kabinie Karen uśmiechnęła się szeroko. Wreszcie znalazł się ktoś, kto podziela jej odczucia.

- Ależ moja droga, ty nawet nie masz pojęcia, przez co przeszedł ten cudowny człowiek - powiedziała Loretta w taki sposób, jakby mówiła o weteranie najkrwawszej z wojen.

Karen oparła się o ścianę i miała ochotę wyć. Czy Loretta do prawdy nie potrafiła już mówić o niczym innym, tylko o Okrutnym Porzuceniu? Wielka Tragedia McAllistera Taggerta?

- Trzy lata temu pan Taggert był nieprzytomnie, wprost szaleńczo zakochany w pewnej młodej kobiecie, Elaine Wentlow. - Loretta wyszczała to nazwisko, jakby mówiła o jakiejś odrażająco wynaturzonej istocie. - Niczego w świecie tak nie pragnął, jak założyć z nią rodzinę. Chciał własnego domu, poczucia bezpieczeństwa. Chciał...

Karen ze zniecierpliwieniem przewróciła oczami: za każdym razem w opowieści Loretty pojawiała się mniej faktów, a więcej melodramatu. Teraz rozwodziła się nad przepychem uroczystości, zaplanowanej i w całości opłaconej przez samego Taggerta. Nie omieszkała przy tym dodać, że podczas gdy on dwoił się i troił, jego narzeczona spędzała cały czas u kosmetyczek i manikiurzystek.

- I po tym wszystkim go zostawiła? - spytała nowa asystentka z należytą dozą zgrozy w głosie.

- Zerwała z nim przed kościołem w obecności siedmiuset gości, którzy zjechali na ten ślub ze wszystkich zakątków świata.

- To straszne! Musiał się czuć okropnie upokorzony. Ale dlaczego tak postąpiła? Nawet jeżeli miała powód, by za niego nie wychodzić, czy nie mogła tego załatwić w bardziej cywilizowany sposób?



Karen zacisnęła usta. Nie miała wątpliwości, że w wieczór przed ślubem Taggert podsunał narzeczonej do podpisania jedną z tych swoich obrzydliwych umów przedmałżeńskich, zdradzając w ten sposób, co naprawdę o niej sądzi. Oczywiście, Karen nie mogła podzielić się z kimkolwiek swymi przekonaniem, nie miała bowiem najmniejszego prawa do wglądu w prywatne pisma Taggerta. Powinna je przepisywać jego osobista sekretarka. Ale piękna panna Grisham uważała, że włączanie takich rzeczy do komputera jest poniżej jej godności, zlecała więc podobne prace osobie, która najdłużej pracowała w firmie: a mianowicie pannie Johnson. Rzecz w tym, że ponad siedemdziesięcioletnia panna Johnson nie była już w stanie długo stukać w klawiaturę. Wiedziała jednak, że gdyby się do tego przyznała, musiałaby odejść z pracy, a ponieważ miała imponujące stado kotów do wyżywienia, potajemnie przekazywała Karen całą prywatną korespondencję szefa.

- A więc to dlatego od tamtej pory wszystkie od niego odchodzą? - dopytywała się asystentka. - Słyszałam coś o kobiecie, która była tu rano.

I bez pełnej dramatyzmu opowieści Loretty Karen doskonale wiedziała, co wydarzyło się tego ranka, ponieważ całe biuro nie mówiło o niczym innym. Wiadomość o kolejnych zerwanych zaręczynach szefa w połączeniu z bożonarodzeniowym przyjęciem i specjalnymi premiami dostarczyło personelowi aż nadmiar ekscytacji. Przez moment Karen szczerze się obawiała o stan serca panny Johnson.

Przed południem, gdy już wręczono pracownikom premię, do budynku wpadła wysoka, urodziwa, rudowłosa kobieta, trzymając w dłoni puzderko niewątpliwie zawierające pierścionek zaręczynowy. Recepcjonistka nawet nie musiała jej pytać, kim jest i w jakim celu przybywa, gdyż wzburzone kobiety z podobnymi puzderkami w rękach były powszechnym widokiem w firmie M. J. Taggerta. Jedne po drugich, drzwi otwierały się przed rudowłosą pięknoscią, aż w końcu znalazła się w najświętszym sanktuarium: gabinecie szefa.

Wyloniła się stamtąd piętnaście minut później; zamiast małego puzderka zaciskała w dłoni etui o rozmiarach idealnych dla branżoletki.

- Jak one mogą mu to robić?! - szeptały między sobą oburzone kobiety w biurze, z otwartą złością spoglądając za rudowłosą. - To przecież wyjątkowo wspaniały mężczyzna: taki serdeczny i delikatny.

- Problem w tym, że zakochuje się w niewłaściwych kobietach.

Gdyby trafił na prawdziwie dobrą, kochałaby go do grobowej deski - dochodziły zgodnie do wniosku.

I po owej konkluzji wszystkie, które nie przekroczyły jeszcze pięćdziesiątego piątego roku życia, natychmiast ruszały do łazienki, gdzie spędzały godzinę lunchu próbując nadać sobie najpowabniejszy wygląd.

Wszystkie, oprócz Karen, która nie wstała od biurka, ostatnim wysiłkiem woli powstrzymując się od wygłoszenia własnej opinii na temat szefa.

Loretta wydała z siebie głębokie westchnienie, aż zatrzęsły się drzwi kabiny. Zupełnie się nie przejmowała, że ktoś może siedzieć w środku, bo już każdej kobiecie w firmie zdążyła opowiedzieć wszystko o boskim panu Taggercie, nie mogło więc być mowy o jakimkolwiek podsłuchiwanym.

- No i teraz znów jest do wzięcia - oznajmiła głosem przepelnionym smutkiem, ale i nadzieją. - Pozostaje mu nadal szukać swej prawdziwej miłości; wierzę jednak, że w końcu jakaś bardzo szczęśliwa kobieta zostanie panią McAllisterową Taggert.

Asystentka mruknęła potakująco.

- Ta kobieta postąpiła haniebnie. Nawet jeżeli go nienawdziła, powinna pomyśleć o gościach na ślubie.

Słyszac te słowa, Karen z trudem powstrzymała się od jęku. A więc jednak Loretta zwerbowała kolejnego rekruta do swojej armii wielbicielów szefa.

- Co robisz? - Usłyszała pytanie Loretty.

- Wpisuję odpowiednie określenie - odrzekła asystentka.

Loretta wydała z siebie jeszcze jedno przejmujące westchnienie.

- Bardzo mi się podoba. A teraz już się zbierajmy. Żal tracić choćby sekundę tego wspaniałego przyjęcia... - Zawiesiła głos, by po chwili dorzucić sugestywnie: - Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć pod jemiolą.

Karen poczekała minutę, by kobiety się oddaliły, odetchnęła głęboko i wreszcie wyszła z kabiny. Spojrzenie w lustro upewniło ją, że tymczasem zaczerwienienie oczu niemal ustąpiło. Umyła ręce i gdy podeszła do pojemnika na ręczniki, zrozumiała, co znaczyła ostatnia wymiana zdań między Loretą a nową asystentką. Dawno temu ktoś (zapewne Loretta) ukradł z holu zdjęcie Taggerta i zawiesił je w damskiej łazience, a pod spodem przykleił oficjalną tabliczkę z jego nazwiskiem (też najprawdopodobniej kradzioną). Teraz na ścianie, tuż nad plakietką, widniały słowa:

Wpatrując się w napis, Karen potrząsnęła z niesmakiem głową, a potem – z szyderczą miną – wyjęła czarny, niezmywalny flaster z torebki, przekreśliła świeżo dopisane słowa, zastępując je napisem: „Słusznie upokorzony”.

Spoglądając na swoje dzieło, uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia i wyszła z łazienki w dużo lepszym nastroju. Prawdę mówiąc na tyle dobrym, że pozwoliła koleżankom wciągnąć się do windy i wraz z nimi pojechała na górę, na wielkie świąteczne przyjęcie.

Całe piętro biurowca Taggertów było przeznaczone na ważne spotkania i konferencje. W odróżnieniu od reszty budynku nie podzielono go na biura i gabinety mniej więcej tej samej wielkości, ale zaprojektowano jak wnętrze luksusowego, choć wyjątkowo eklektycznego domu. W jednym z obszernych pokoi znajdowały się maty *tatami*, parawany *shoji* i drobiazgi z jadeitu, na użytek kontrahentów z Japonii. Inną salę firma Colefax i Fowler urządziła w stylu angielskiej wiejskiej posiadłości. Dla klientów o ambicjach intelektualnych była też biblioteka z kilkoma tysiącami tomów stojących na półkach z orzechowego drewna. Na tym piętrze znajdowała się także kuchnia dla zatrudnionego na stałe kucharza, jak również aneks kuchenny dla klientów, którzy lubili sami przyrządzać sobie posiłki. Natomiast w pokoju w stylu Santa Fe na ścianach wisiały obszywane koralikami mokasyny i zamszowe koszule zdobione frędzlami.

Była tu także wielka, pusta sala, którą urządzano w zależności od potrzeb i okoliczności. To właśnie tutaj co roku królowała ogromna choinka, za każdym razem ubierana przez innego wybijającego się młodego designera. Zawsze była oszalałająca i zawsze inna, i nieodmiennie stanowiła główny temat dyskusji jeszcze kilka tygodni po przyjęciu. W tym roku wisiało na niej co najmniej pół tony białych i srebrnych ozdób.

Ale Karen wolała choinkę stojącą w przedszkolu dla dzieci pracowników firmy. Tam drzewko nigdy nie przekraczało metra wysokości, by większość maluchów mogła sięgnąć do czubka, a zdobyły je zabawki wykonane przez same dzieciaki: głównie kolorowe łańcuchy z papieru i dmuchanej kukurydzy.

Kiedy szła w kierunku przedszkola, zatrzymało ją trzech podpiętych pracowników księgowości, w śmiesznych papierowych czapczkach na głowie. Próbowali przekonać Karen, by poszła z nimi na przyjęcie, lecz kiedy ją rozpoznali, natychmiast dali jej spokój. Karen już dawno temu nauczyła pracujących w firmie, że

że należy trzymać się od niej z daleka – zarówno w godzinach pracy, jak i przy bardziej nieformalnych okazjach, takich jak dzisiejsza.

– Przepraszamy – wymamrotali i poszli w swoją stronę.

W przedszkolu aż roiło się od dzieci, bo tego szczególnego dnia zjawili się tu wszyscy Taggertowie ze swoimi pociechami.

– Cokolwiek by powiedzieć o tej rodzinie, trzeba przyznać, że jest niezwykle płodna – oświadczyła kiedyś panna Johnson, wprawiając wszystkich, z wyjątkiem Karen, w niepohamowaną wesołość.

Karen musiała jednak przyznać w duchu, że Taggertowie byli bardzo miłymi ludźmi. To, że nie lubiła McAllistera nie znaczyło, że musiała czuć animozję do całej rodziny. Byli dla wszystkich uprzejmi, chociaż trzymali się we własnym gronie; ale to właściwie zrozumiałe, gdyż w tak licznych rodzinach, zapewne nie wystarczyło już czasu dla obcych.

Przyglądając się chaosowi panującemu w pokoju zabaw, Karen po chwili odniosła wrażenie, że dwoi się jej w oczach, jako że w rodzinie Taggertów nadzwyczaj często rodziły się bliźnięta. Niektóre pary zebranych tu dorosłych, dzieci oraz niemowlaków były tak do siebie podobne, że z powodzeniem mogłyby uchodzić za klony.

I nikt, łącznie z Karen, nie potrafił ich rozróżnić. Mac też miał brata bliźniaka, pracującego w tej samej firmie, i kiedy jeden z nich gdzieś się pojawiał, zawsze padało pytanie: „Który to?”

W pewnej chwili ktoś wcisnął jej w dłoń drinka ze słowami: „Rozluźnij się, skarbie”, ale Karen ledwo umoczyła usta. Całą noc spędziła w szpitalu z Ann i nic nie jadła od poprzedniego wieczoru. Gdyby teraz jeszcze wypila cokolwiek na pusty żołądek, alkohol natychmiast uderzyłby jej do głowy.

Patrząc na salę zabaw, odniosła wrażenie, że jeszcze nigdy nie widziała tak wielu dzieci naraz: były tu oseski, raczkujące niemowlaki, maluchy z książeczkami w rączkach. Szczególną uwagę Karen przyciągnęła uroczą dziewczynka uczesana w kitki opadające na plecy, która z apetytem zjadała kredkę, oraz dwóch ślicznych chłopców o identycznym wyglądzie, bawiących się identycznymi wozami strażackimi.

– Karen, jesteś masochistką – wyszeptala pod nosem, po czym odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę windy. Weszła do pustej kabiny i od razu powróciło poczucie osamotnienia. Zamierzała spędzić Boże Narodzenie z Ann i Charliem, ale teraz, kiedy właśnie urodziła im się córeczka, nie mogła zawracać szwagierce głowy.

Weszła do pomieszczenia, które dzieliła z innymi sekretarkami i zaczęła zbierać swoje rzeczy, w końcu jednak zdecydowała, że przed wyjściem przepisze dwa pisma, leżące na jej biurku. Nie były pilne, czemu jednak nie miałyby zrobić tego od ręki.

Dwie godziny później skończyła pisać swoje dwa pisma – była to prywatna korespondencja wielkiego bossa – a także trzy inne dokumenty, znajdujące się na biurkach jej koleżanek. Przeciągnęła się, chwyciła listy Taggerta – jeden do kuzyna, drugi dotyczący jakiegoś gruntu w Tokio – i ruszyła w stronę prywatnego gabinetu szefa. Zapukała, jak zwykle, ale po chwili zdała sobie sprawę, że jest teraz jedyną osobą na tym piętrze; nacisnęła więc klamkę i weszła do środka. Poczula się dziwnie, gdy nie ujrzała przy biurku siejącej postrach panny Gresham, która – niczym lew – strzegła gabinetu Taggerta jak świątyni i nigdy nie pozwalała, by ktoś znalazł się tam bez wyjątkowo ważnej przyczyny.

Karen rozejrzała się po najważniejszym sekretariacie, urządzonego ponoć zgodnie z wyrafinowanym gustem panny Gresham. Całe pomieszczenie było utrzymane w srebrno-białej tonacji, podobnie jak tegoroczna choinka – i, w opinii Karen, równie zimne.

Delikatnie położyła listy na biurku i już miała wyjść, gdy jej spojrzenie padło na dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do gabinetu Taggerta. O ile Karen zdołała się zorientować, żadna z pracujących z nią kobiet jeszcze nigdy tam nie wchodziła i wszystkie – nie wyłączając samej Karen – były bardzo ciekawe, jak wygląda owo tajemnicze wnętrze.

Niewątpliwie wkrótce będzie robił obchód pracownik ochrony – jeszcze zanim tu weszła, słyszała jego kroki i pobrzękiwanie kluczy – doszła jednak do wniosku, że gdyby nawet ją przyłapał, powie, że kazano jej przynieść pisma do gabinetu pana Taggerta.

Chwyciła ponownie listy, po czym ukradkiem, niczym złodziej, uchyliła drzwi i wsunęła głowę do środka.

– Halo? Jest tu ktoś? – spytała cicho, świadoma, że gdyby usłyszała odpowiedź, zapewne padłaby trupem z wrażenia.

Odłożyła pisma na biurko i rozejrzała się po gabinecie. Taggert musiał zatrudniać wyjątkowo dobrego dekoratora; nie ulegało wątpliwości, że żaden biznesmen nie mógł samodzielnie zaprojektować wystroju tego wnętrza. Nigdzie nie było śladu czarnej skóry czy chromu. Gabinet wyglądał tak, jakby został żywcem przeniesiony z któregoś z francuskich *chateau* – łącznie z rzeźbionymi boazeriami, wydeptaną kamienną posadzką i ogromnym kominkiem. Fote-

le, pokryte lekko wytartymi, ręcznie wyszywanymi tapiseriami, również wyglądały na wiekowe.

Całą ścianę zajmował regał, od sufitu po podłogę wypełniony książkami – z wyjątkiem jednej półki, na której stały fotografie w srebrnych ramkach. Kiedy Karen przyjrzała się im bliżej, doszła do wniosku, że bez kalkulatora nie uda jej się zliczyć wszystkich dzieci na zdjęciach. Na końcu szeregu stała fotografia młodego mężczyzny, trzymającego na lince świeżo złowione ryby. Niewątpliwie był to jeden z Taggertów, Karen jednak nigdy wcześniej go nie widziała.

– Czy obejrzała już pani wszystko, co chciała?

Na dźwięk ciepłego barytonu podskoczyła tak gwałtownie, że wypuściła z rąk fotografię. W zderzeniu z kamienną posadzką szkło natychmiast się rozprysnęło.

– Ja... bardzo... bardzo... przepraszam – wykrztusiła. – Nie wiedziałam, że jest tu jeszcze ktoś oprócz mnie.

Schylając się po zdjęcie, spojrzała w ciemne oczy McAllistera Taggerta.

– Oczywiście, pokryję wszystkie koszty – rzuciła nerwowo, starając się zebrać potrzaskane szkło.

Nie odezwał się słowem, tylko zmarszczył brwi, wbijając w nią gniewne spojrzenie.

Karen wstała i próbowała wręczyć mu kawałki szkła, a kiedy nie wykazał najmniejszej chęci, by się nimi zająć, położyła je delikatnie na brzegu półki.

– Fotografia nie została uszkodzona – powiedziała drżącym głosem. – Ja... hm... czy to jeden z pańskich braci? Mam wrażenie, że nigdy wcześniej go nie widziałam.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, oczy szefa rozwarły się szeroko i Karen nagle ogarnął strach. Na całym piętrze nie było nikogo poza nimi, a ona wiedziała o tym człowieku tylko tyle, że wiele kobiet nie zgodziło się wyjść za niego za męża. Czy z powodu obrzydliwej intercyzy przedmałżeńskiej, czy raczej z całkiem innej przyczyny? Może w grę wchodziła przemoc fizyczna?

– Muszę już iść – wyszeptwała, po czym wybiegła z gabinetu.

Zatrzymała się dopiero przy windzie i nerwowo wcisnęła guzik. W tej chwili najbardziej na świecie chciała znaleźć się w domu, w bezpiecznym schronieniu, i zrobić wszystko, by zapomnieć o swoim blamażu. Przyłapana w gabinecie szefa, gdy myszkowała tam niczym zadurzona nastolatka! Jak mogła być aż tak głupia?

Kiedy rozsunęły się drzwi kabiny, okazało się, że winda jest pełna rozochoconych pracowników. Mimo głośnych protestów Karen,

że chce jechać na dół, wciągnęli ją do środka i zabrali z powrotem na przyjęcie.

Pierwszą osobą na którą się tam natknęła, był kelner z tacą pełną kieliszków szampana. Bez zastanowienia opróżniła dwa z nich duszkiem. Chwilę później poczuła się już dużo lepiej. Zdenerwowane zaczęło ustępować. Została przyłapana na myszkowaniu w gabinecie szefa. No i co z tego? Wiele gorszych rzeczy może się przytrafić człowiekowi w życiu. Po trzecim kieliszku Karen skutecznie zdołała przekonać samą siebie, że właściwie nic złego się nie stało.

Kiedy podniosła oczy, zobaczyła kobietę trzymającą w ramionach pulchnego chłopaczka, ściskającą pod pachą wielką paczkę pieluch i jednocześnie gorączkowo usiłującą rozłożyć spacerowy wózek.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zaproponowała Karen.

– Naprawdę byłaby pani tak dobra?

Kobieta odsunęła się na krok od wózka, najwyraźniej przekonana, że w tym właśnie zamierza pomóc jej Karen.

Tymczasem Karen wyjęła z jej ramion dziecko i przytuliła do piersi.

– Zazwyczaj jest nieufny wobec obcych, ale widzę, że panią polubił. – Kobieta uśmiechnęła się ciepło. – Czy nie zechciałaby pani popilnować go przez kilka minut? Wprost umieram z głodu.

Przyciskając mocniej do siebie chłopczyka, ufnie opierającego główkę o jej ramię, Karen wyszeptwała:

– Chętnie zajęłabym się nim nawet do końca życia.

Kobieta spojrzała na nią z przerażeniem. Wyrwała dziecko z jej rąk i szybko oddaliła się korytarzem.

Jeszcze kilka chwil temu Karen sądziła, że najgorszą życiową kompromitację ma już za sobą, ale ten epizod był dużo gorszy od bycia przyłapaną na myszkowaniu w cudzym gabinecie.

– Co się z tobą dzieje! – wyszczała pod nosem i stanowczym krokiem ruszyła do wyjścia. W duchu postanowiła, że natychmiast pojedzie do domu i już do końca świata nie wytknie nosa z mieszkania.

W windzie jednak przypomniała sobie, że jej płaszcz i torba zostały w biurze na dziewiątym piętrze. Gdyby nie mróz na zewnątrz i gdyby kluczyki od samochodu nie zostały w torebce, wyszłaby z budynku tak jak stała – niestety w obecnej sytuacji musiała tam wrócić. Oparła głowę o ścianę kabiny windy. Zdawała sobie sprawę, że za dużo wypila – ale co tam, tak czy owak, po świętach będzie już bezrobotna. Gdy tylko Taggert powie swojej wzbudzającej powszechną grozę sekretarce, że przyłapał na węszeniu w jego gabi-

necie jakąś nieznaną – bo Karen nie miała wątpliwości, że niezwykle zajęty McAllister Taggert nigdy w życiu nawet nie rzucił okiem na kogoś o tak niskiej pozycji, jak ona – Karen z miejsca doświadczenie wymówienie.

Na przeciwległej ścianie kabiny znajdowała się tablica z brązu, na której wryto listę wszystkich Taggertów pracujących w tym budynku. Niewątpliwie nowa rekrutka Loretty była bardzo pracowita tego dnia, bo nad nazwiskiem McAllistera Taggerta widniał pasek papieru, na którym wykaligrafowano: „Wspaniały tygrys”. Uśmiechając się pod nosem, Karen wyjęła z kieszeni flamaster i zmieniła napis na: „Szowinistyczny macho”.

Gdy winda stanęła na żądanym piętrze, Karen – czy to z powodu szampana, czy też obrazoburczego zachowania – poczuła się dużo lepiej. Mimo to w żadnym razie nie miała ochoty na ponowne spotkanie z Taggertem. Przytrzymała drzwi i zanim wyszła z kabiny, uważnie rozejrzała się na wszystkie strony. Ani śladu wroga. Na palcach przeszła przez wyłożony dywanem hol do biura sekretarek i tak cicho, jak to możliwe, wyjęła z szuflady torebkę i chwyciła z oparcia krzesła płaszcz. Kiedy już wychodziła, zatrzymała się przy biurku panny Johnson, by zabrać zostawione przez nią piśma. Będzie miała czym wypełnić czas w Boże Narodzenie.

– Znowu myszkujemy?

Dłoń Karen zawisała nad biurkiem; nie musiała podnosić oczu, by wiedzieć, kto pojawił się w biurze. McAllister Taggert. W zasadzie powinna taktownie opuścić pokój, ale nadmiar szampana i świadomość, że i tak wyleci z pracy, dodały jej odwagi i sprawiły, że właściwie było jej już wszystko jedno.

– Przepraszam, że weszłam do pańskiego gabinetu. Byłam pewna, że jest pan zupełnie gdzie indziej, zajęty proponowaniem małżeństwa kolejnej piękności. Nie zamierzałam zakłócać pańskiego spokoju.

Po tym oświadczeniu z najbardziej wyniosłą miną, na jaką mogła się zdobyć, ruszyła w stronę drzwi.

– Pani mnie nie lubi, prawda?

Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy – w te ciemne, ocienione długimi rzęsami oczy, które we wszystkich kobietach w biurze wzbudzały dzikie pożądanie. Na Karen jednak nie robiły najmniejszego wrażenia, bo widziała zbyt wiele kobiet wylewających łzy z powodu tego mężczyzny.

– Przepisywałam pańskie trzy ostatnie umowy przedmałżeńskie. A więc dobrze wiem, jakim naprawdę jest pan człowiekiem.

Wyglądał na zaskoczonego.

- Ale przecież to panna Gresham powinna...

- Rzykując przy tym, że polamie paznokcie na klawiaturze?  
W żadnym razie - odparła Karen i minawszy szefa, ruszyła do wyjścia.

Taggert jednak był szybszy - zdążył chwycić ją za ramię.

Po raz drugi poczuła strach. Przecież zupełnie nie знаła tego mężczyzny. Oprócz nich na całym piętrze nie było żywego ducha. Nawet gdyby zaczęła krzyczeć, nikt by jej nie usłyszał.

Pod jej spojrzeniem oblicze Taggerta złagodniało. Natychmiast puścił jej ramię.

- Pani Lawrence, zapewniam, że nie zamierzam pani zrobić nic złego.

- Skąd pan zna moje nazwisko?

Uśmiechnął się, patrząc jej w oczy.

- Kiedy pani zniknęła, przeprowadziłem kilka rozmów telefonicznych.

- Ale czemu? - spytała przerażona.

- Z ciekawości. Rozumiem, że z tego samego powodu znalazła się pani w moim gabinecie.

Karen ponownie skierowała się ku wyjściu, lecz znowu chwycił ją za ramię.

- Proszę poczekać, pani Lawrence. Chciałbym zaproponować pani pracę na okres świąt.

Energicznie stuknęła w przycisk windy, podczas gdy Taggert wciąż stał u jej boku - blisko, aż za blisko.

- A co miałabym zrobić w ramach tej pracy? Wyjść za pana za mąż?

- W pewnym sensie tak - odparł, mierzając ją spojrzeniem od stóp do głów.

Karen ponownie uderzyła w przycisk - tym razem tak mocno, że tylko cudem nie wepchnęła guzika w ścianę.

- Pani Lawrence, nie próbuję pani uwieść. Jedyne oferuję pani pracę. Legalną pracę, za którą jestem gotów bardzo dużo zapłacić.

Karen wciąż naciskała guzik, pilnie obserwując wskaźniki ruchu wind. Obie utknęły na piętrze, gdzie odbywało się przyjęcie.

- W trakcie wspomnianych rozmów telefonicznych usłyszałem, że podczas dwóch poprzednich świąt zgodziła się pani pracować - jako jedyna w tej firmie. Dowiedziałem się też, że jest pani powszechnie uważana za niedostępną Królową Śniegu. Kiedy pewnego razu jeden z mężczyzn pochylił się nad biurkiem, by namó-

wić panią na randkę, zszywaczem przyszpiliła mu pani krawat do blatu.

Karen zaczerwieniła się gwałtownie, ale nie odwróciła w jego stronę.

- Pani Lawrence - odezwał się po chwili chłodnym, oficjalnym tonem, jakby to, co miał powiedzieć, było dla niego trudne. - Bez względu na wszystko, co pani o mnie myśli, na pewno nigdy nie słyszała pani, żebym zachował się w niestosowny sposób w stosunku do którejkolwiek z kobiet, pracujących w tej firmie. Proponuję pani pracę - przyznaję, że dość niezwykłą - ale nic poza tym. Proszę wybaczyć, jeżeli moim zachowaniem sprawiłem wrażenie, że oczekiwałem czegoś więcej. - Po tych słowach odwrócił się i ruszył w stronę gabinetu.

Tymczasem winda zjeżdżająca z dwunastego piętra pomknęła w dół, nie zatrzymując się przed Karen. Niechętnie odwróciła się w stronę oddalających się pleców szefa. I nagle przed jej oczami pojawiło się puste mieszkanie z maleńkim drzewkiem, pod którym niczego nie znajdzie. A faktem jest, że bez względu na to, jak Taggert traktował kobiety w swoim prywatnym życiu, zawsze z szacunkiem i uprzejmością odnosił się do pracowników firmy. I bez względu na to, jak bardzo niektóre z nich się starały, by zmienić nastawienie, pozostawał nieugięty. Dwa lata temu, gdy jedna z sekretarek zaczęła opowiadać, że próbował ją poderwać, wszyscy tak bezlitośnie ją wyśmiali, że trzy tygodnie później zmieniła pracę.

Karen wzięła głęboki oddech i ruszyła za Taggertem.

- Więc dobrze - powiedziała, gdy znalazła się tuż za jego plecami. - Wysłucham szczegółów pańskiej propozycji.

Dziesięć minut później siedziała w zaciszu pięknego gabinetu; w kominku płonął ogień, rzucając różową poświatę na stół zastawiony wykwintnymi przekąskami i szampanem w wiaderku z lodem. W pierwszej chwili Karen zamierzała oprzeć się pokusie, lecz kiedy pomyślała o minie Ann, gdy jej opowie, że jadła homara ze swoim szefem, przyjęła zaproszenie.

Podczas gdy popijała szampana, Taggert zaczął swoje wyjaśnienia.

- Domyślam się, że słyszała już pani o Lizie.

- Tej rudowłosej piękności?

- Uhm. Właśnie. - Ponownie napełnił jej kieliszek. - Dwudziestego czwartego grudnia, a więc za dwa dni, mieliśmy uczestniczyć w ślubie jednego z moich najbliższych przyjaciół, który mieszka w Wirginii. To będzie wielka feta, zaproszono ponad sześciuset gości z całego świata. - Przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu.

- No i? - spytała w końcu, by przerwać ciszę. - Do czego miałabym być panu potrzebna? Do przepisania na czysto intercyzy - tym razem pańskiego przyjaciela?

McAllister posmarował krakersa pasztetem z gęsich wątróbek i podał Karen.

- Problem w tym, że nie mam już narzeczonej.

Pociągnęła łyk szampana i sięgnęła po krakersa.

- Przepraszam za moją ignorancję, ale wciąż nie pojmuję, co to ma wspólnego ze mną.

- Suknia drużny jest w pani rozmiarze.

Zapewne z powodu alkoholu jej umysł pracował nieco opieszale, więc potrzebowała kilku sekund, by pojąć znaczenie tych słów, a gdy już rozumiała, o co chodzi, wybuchnęła śmiechem.

- Chce pan, bym udawała pańską narzeczoną, a na dodatek była drużną na ślubie kobiety, której w życiu nie widziałam na oczy? Dla której jestem kimś całkiem obcym?

- Właśnie.

- Ile butelek szampana pan dziś wypił?

McAllister uśmiechnął się szeroko.

- Nie jestem pijany, tylko śmiertelnie poważny. Czy chce pani poznać więcej szczegółów?

Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał Karen, że natychmiast powinna stąd wyjść, uciekać jak najdalej od tego szaleńca, ale tak naprawdę, co ją czekało w domu? Nie miała nawet kota, który by jej potrzebował.

- Cała zamieniam się w słuch.

- Nie wiem, czy pani już słyszała, ale trzy lata temu... Trzy lata temu, praktycznie przed ołtarzem, opuściła mnie narzeczonej, kobieta, z którą zamierzałem spędzić resztę moich dni.

Karen opróżniła kieliszek.

- Czyżby odkryła, że w żadnym wypadku nie wymówi pan słów: „...i dzielić z tobą wszystkie moje doczesne dobra”?

Przez moment Taggert wpatrywał się w jej twarz, a potem poczęstował ją uśmiechem, który można by określić jedynie jako olśniewający. Karen aż zamrugowała z wrażenia; był naprawdę zabójczo przystojny z tymi ciemnymi oczami i włosami, i małym dołkiem w jednym policzku. Nic dziwnego, że tyle kobiet traciło dla niego głowę.

- Myślę, pani Lawrence, że będziemy stanowić idealny duet.

Te słowa natychmiast otrzeźwiły Karen. Musi ustalić nieprzekraczalne granice i musi to zrobić natychmiast.

- Nie sędzę, ponieważ ani przez chwilę nie wierzę w tę tragiczną opowieść o biednym, opuszczonym chłopcu. Nie mam pojęcia, co naprawdę zdarzyło się wtedy przed pańskim ślubem, i dlaczego tak wiele kobiet w ostatniej chwili zrywało zaręczyny, ale zapewniam, że nie jestem jedną z tych zadurzonych w panu sekretarek, które sądzą że został pan haniebnie porzucony. Uważam, że raczej był pan... - Urwała, by nie powiedzieć o kilka słów za dużo.

Spojrzał na nią rozbawiony.

- Słusznie upokorzony? A może raczej sądzi pani, że jestem szwinistycznym macho? No, no, przynajmniej teraz wiem, komu zawdzięczamy tę literacką twórczość.

Była zbyt zmieszana, by cokolwiek z siebie wykrztusić. Jakim cudem dowiedział się o tym tak szybko?

Wpatrywał się w nią w zamyśleniu, a chwilę później wyraz jego twarzy zmienił się z żalnego w przyjacielski.

- To, co wydarzyło się między mną a Elaine pozostanie tylko między nami. Rzecz w tym, że pan młody jest z nią spokrewniony, więc moja niedoszła żona również będzie na tym ślubie. Jeżeli zjawię się tam sam i wszyscy się dowiedzą, że rzuciła mnie kolejna narzeczonej, znajdę się - delikatnie rzecz ujmując - w bardzo krępującej sytuacji. A do tego dojdą jeszcze problemy organizacyjne, związane z samą ceremonią. Siedmiu drużbów, a tylko sześć druhen - niektórzy mogą uznać taką asymetrię za rażącą.

- Niech więc pan wynajmie jakąś dziewczynę z agencji. Lub aktorkę.

- Myślałem o tym, ale kto wie, kogo mi przysła? Może w trakcie przyjęcia dziewczyna zacznie odgrywać rolę lady Makbet? Albo okaże się, że zna ją połowa obecnych tam mężczyzn? To postawiłoby mnie w jeszcze bardziej niezręcznej sytuacji.

- Panie Taggert, nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, że dysponuje pan czarnym notesikiem, pełnym nazwisk kobiet, które poszłyby za panem na koniec świata i zrobiły absolutnie wszystko na jedno pańskie drobne skinienie.

- I w tym właśnie problem. Wszystkie te kobiety... cóż, bardzo mnie lubią, więc potem...

- Rozumiem. Nie bardzo by pan wiedział, jak się ich pozbyć? Myślę, że wystarczyłoby zaproponować im małżeństwo. Zdaje się, że to może wyleczyć każdą kobietę z uczuć do pana.

- Tak jak myślałem! Pani jest wprost wymarzona do tej roli. Wystarczy, że ktoś zobaczy, jak pani na mnie patrzy, a od razu bę-

dzie wiedział, że wkrótce się rozstaniemy. Gdy więc tydzień później ogloszę, że zerwaliśmy, nikogo to nie zdziwi.

- A co ja będę z tego miała?

- Zapłacę każdą sumę, jakiej pani zażąda.

- Dostanę jeden z pierścionków zaręczynowych, które rozdaje pan na kopy?

Wiedziała, że zachowuje się niegrzecznie, ale szampan uderzył jej do głowy, a poza tym każda złośliwość z jej strony wywoływała błysk rozbawienia w jego oczach.

- Czy doprawdy krążą o mnie podobne plotki?

- Och, proszę sobie darować tę minę nieszczęśnika. Niech pan nie zapomina, że przepisywałam pańskie intercyzy. Dobrze więc wiem, jaki pan jest naprawdę.

- To znaczy?

- Niezdolny zaufać drugiemu człowiekowi. Może nawet niezdolny do miłości. Podoba się panu idea małżeństwa, ale partnerstwo, a przede wszystkim dzielenie się pieniędzmi z inną ludzką istotą jest dla pana czymś przerażającym. Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że pan niczym nie umie się dzielić z innymi ludźmi.

Przez chwilę wbił w nią zdumione spojrzenie, po czym niespodziewanie się uśmiechnął.

- Widzę, że ma pani bardzo wyrobioną opinię na mój temat. Ale mimo mojej nieczułości wciąż jestem bardzo speszony faktem, że Elaine porzuciła mnie wobec tak szerokiego audytorium. Zapłaciłem za nasz ślub trzydzieści dwa tysiące dolarów - a te koszty nie podlegały zwrotowi - i na dodatek musiałem odesłać wszystkie prezenty.

Karen nie wykrzesala z siebie ani odrobiny współczucia.

- Ale co ja będę z tego miała? - powtórzyła. - I od razu mówię, że nie chcę pieniędzy. Mam własne.

- Tak, wiem. Dokładnie pięćdziesiąt dwa tysiące i trzydzieści osiem centów.

Niewiele brakowało, a zadławiłaby się szampanem.

- Jakim cudem...?

- Bank znajdujący się w tym budynku jest własnością mojej rodziny. Założyłem, że właśnie z jego usług pani korzysta, a więc sprawdziłem kartotekę po pani wyjściu z mojego gabinetu.

- Pan bezprawnie ingeruje w moje życie!

- Ależ skąd. Powoduje mną jedynie ciekawość. Sprawdziłem wszystko, aby się przekonać, z kim mam do czynienia, a ponieważ złożona przeze mnie propozycja jest raczej osobistej natury, chcia-

łem się dowiedzieć o pani czegoś więcej. Poza tym, zawsze mnie interesuje, co się kryje pod pięknym opakowaniem.

Pociągając z wolna szampana, posłał jej spojrzenie, jakie zazwyczaj romantyczni bohaterowie posyłają uciśnionym heroinom.

Na Karen jednak nie zrobiło ono wrażenia. Wielu mężczyzn w życiu spoglądało na nią w podobny sposób, a tylko jeden miał prawdziwą miłość w oczach. Ta różnica przesądzała o wszystkim.

- Rozumiem, czemu kobiety nie mogą się panu oprzeć - rzuciła chłodno, unosząc ku niemu kieliszek w niemym toaście.

Taggart uśmiechnął się ciepło.

- W porządku, zdażyłem już pojąć, że nie robię na pani żadnego wrażenia, czy więc teraz możemy przejść do interesów? Chciałbym panią zatrudnić na trzy dni w charakterze osoby towarzyszącej. Ponieważ jestem skazany na pani dobrą wolę, zapłacę tyle, ile pani zażąda.

Karen opróżniła kolejny kieliszek. Który to już? Szósty, siódmy? Nieważne. Grunt, że dzięki temu zyskiwała więcej odwagi.

- Jeżeli przyjąłabym pańską propozycję, to nie dla pieniędzy.

- Ach, tak. Czego więc by pani sobie życzyła? Awansu? Chciałaby pani zostać szefową sekretariatu? A może jedną z moich zastępczyń?

- Żeby siedzieć w przeszklonym boksie i umierać z nudów? Nie, dziękuję bardzo.

McAllister spojrzał na nią zdumiony, ale cierpliwie czekał, by przedstawiła swoje żądania. Tymczasem Karen uparcie milczała.

- Chciałaby pani dostać akcje naszej firmy?

Kiedy nadal się nie odzywała, rozparł się wygodniej w fotelu i obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Chce pani czegoś, czego nie można kupić za pieniądze, prawda?

- Tak - odrzekła cicho.

- Czy mam zgadnąć, czego nie można kupić za pieniądze? Ma pani może na myśli szczęście?

Karen pokręciła głową.

- Bo chyba nie miłość? Zapewne nie chciałaby pani, żeby pokochał panią ktoś mojego pokroju? - Spojrzał na nią, wyraźnie skonsternowany. - Przyznaję, że nic sensownego nie przychodzi mi do głowy.

- Chcę mieć dziecko.

Słyszac to, aż zakrztusił się z wrażenia i oblał cały przód koszuli szampanem. Usiłując osuszyć się serwetkami, posłał jej znaczące spojrzenie.

- Och, pani Lawrence, zrobię to z najwyższą przyjemnością.

Sięgnął po jej rękę, ale Karen zacisnęła dłoń na trzonku ostrego noża.

- Proszę mnie nie dotykać!

Taggart opadł z powrotem na oparcie fotela i ponownie napełnił kieliszki szampanem.

- Czy zechciałyby mi pani wyjaśnić, jak mam dać pani dziecko, jednocześnie pani nie dotykając?

- Wręczając mi odpowiednie naczynie.  
- Ach, tak. Chce pani mieć dziecko z probówek! - Po chwili odezwał się ponownie, przyciszonym, współczującym tonem: - Czy z pani jajnikami...?

- Moje jajniki są w jak najlepszym porządku, dziękuję za troskę - odparła sucho. - Przecież nie zamierzam wkładać do naczynia swoich jajników, ale chcę, żeby pan je napełnił... swoim... znaczy się, to naczynie.

- Tak, rozumiem, co pani ma na myśli. - Nie spuszczać z niej oczu, powoli sączył szampana. - Nie pojmuję natomiast, czemu akurat ja? Skoro pani mnie nie lubi i poważnie kwestionuje moje zasady moralne, dlaczego chciałaby pani, żebyśmy zostali ojcem pani dziecka?

- Z dwóch powodów. Inną możliwością jest wybranie dawcy z komputerowej bazy danych w klinice. Zapewne sam dawca będzie zdrowy, ale co z jego krewnymi? Bez względu na to, jakie mam o panu zdanie, muszę przyznać, że członkowie pańskiej rodziny to bardzo mili ludzie i, jeśli wierzyć lokalnym gazetom, są tacy od pokoleń. Poza tym wiem, jak wyglądają pańscy krewni.

- Więc nie tylko ja węszyłem po kątach. A jaka jest ta druga przyczyna?

- Jeżeli miałabym pańskie dziecko - w sensie metaforycznym, oczywiście - pan nigdy nie zażądałby ode mnie pieniędzy.

To ostatnie zdanie wprawiło Taggerta w takie osłupienie, że przez moment wpatrywał się w nią tępym wzorkiem, mrugając z niedowierzaniem oczami. A chwilę później wybuchnął głośnym, serdecznym śmiechem.

- Pani Lawrence, jestem przekonany, że bez trudu dojdziemy do porozumienia. - Wyciągnął w jej stronę dłoń. - W porządku. Zgadza się na pani warunki.

Karen pozwoliła, by dłużej niż to konieczne przetrzymał jej rękę w swojej dużej, ciepłej dłoni, po czym spojrzała mu w oczy, w których cały czas czaił się uśmiech.

Szybko cofnęła rękę.

- Gdzie i kiedy? - spytała rzeczowo.

- Mój samochód przyjedzie po panią jutro o szóstej. Pierwszym porannym lotem udamy się do Nowego Jorku.

- Wydawało mi się, że pański przyjaciel mieszka w Wirginii - zauważyła podejrzliwym tonem.

- To prawda. Pomyślałem jednak, że najpierw pojedziemy do Nowego Jorku, by kupić dla pani odpowiednie stroje - oznajmił bez ogródek takim tonem, jakby była nagą dzikuską, a on wielkim białym myśliwym, który postanowił ją ucywilizować.

Podniosła do ust kieliszek, by Taggart nie dostrzegł jej miny.

- Ach, tak. Rozumiem. Chce pan, żeby pańskie narzeczone były zadbane i doskonale ubrane.

- Czyż nie tego pragnie każdy mężczyzna?

- Tylko taki, którego nie obchodzi nic poza opakowaniem.

- Celny cios!

Karen się zarumieniła.

- Przepraszam. Kiedy będę udawać pańską narzeczoną, postaram się powściągnąć język. - Rzuciła mu twarde spojrzenie. - Ale chyba nie oczekuje pan, że będę odgrywać troskliwą, słodką istotę?

- Ponieważ żadna z moich narzeczonych tak się nie zachowywała, nie widzę powodu, żeby pani musiała to robić. Proszę napić się jeszcze szampana, pani Lawrence.

- Nie, dziękuję - odrzekła, podnosząc się z krzesła i robiąc wszystko, by nie chwiać się na nogach. Szampan, ogień na kominku i ciemnowłosa mężczyzna o namiętnym spojrzeniu nie ułatwiały kobiecie zachowania ślubów czystości. - Spotkam się z panem jutro na lotnisku. Nie ma jednak sensu, żebyśmy lecieli do Nowego Jorku. - Kiedy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, uśmiechnęła się szeroko. - Proszę mi zaufać.

- W porządku - odrzekł, unosząc kieliszek. - A więc do jutra.

Karen wyszła z gabinetu, zebrała w biurze swoje rzeczy i zjechała na parter. Ponieważ nie czuła się dość pewnie, by prowadzić, poprosiła portiera, żeby sprowadził taksówkę, po czym kazała się zawieźć do niewielkiego centrum handlowego w południowej dzielnicy Denver.

- Bunny? - rzuciła Karen niepewnym głosem w kierunku kobiety zamykającej drzwi małego salonu piękności. Patrząc na jej włosy, Karen nie umiała określić, czy są w kolorze moreli czy brzoskwini. W każdym razie był to bardzo niezwykły odcień.

- Tak? - odrzekła kobieta, najwyraźniej nie wiedząc, z kim rozmawia.

- Nie poznajesz mnie?

Przez chwilę tamta wyglądała na kompletnie zdezorientowaną, ale po chwili jej twarz się rozjaśniła.



- Karen? Czy to naprawdę ty pod tą... pod tym...?  
 - Pod tymi włosami - usłuźnie podsunęła Karen.

- Może ty to nazywasz włosami, ale dla mnie to w żadnym razie nie przypomina włosów. A spójrz tylko na swoją twarz! Wstąpiłaś do zakonu? Czy dlatego chodzisz taka błyszcząca i całkiem bez makijażu?

Karen się roześmiała. Jednym z nielicznych luksusów, na jakie pozwalała sobie za życia Raya, były wizyty w salonie Bunny, która zajmowała się jej włosami, cerą, paznokciami, a przy okazji wszystkimi problemami żywioowymi. Bo Bunny była nie tylko doskonałą fryzjerką, lecz także świetną terapeutką dla swoich klientek - a przy tym tak dyskretną, jakby złożyła przysięgę milczenia. Można na jej było powiedzieć wszystko, mając przy tym gwarancję, że nikt inny się o tym nie dowie.

- Czy możesz się zająć moją fryzurą? - spytała Karen nieśmiało.

- Jasne. Wpadnij jutro rano i...

- Nie. W tej chwili. Jutro wczesnym rankiem muszę już być w samolocie.

Bunny nie tolerowała podobnych fanaberii.

- W domu czeka na mnie wygłodniały mąż. Jestem na nogach od dziewięciu godzin. Trzeba było przyjść wcześniej.

- A czy nie dałabyś się przekupić pewną historią? Bardzo, bardzo intrygującą historią?

Bunny przybrała sceptyczny wyraz twarzy.

- Jak intrygująca?

- Znasz mojego obłędnie przystojnego szefa? McAllistera Taggerta? Najprawdopodobniej będę miała z nim dziecko, chociaż mnie nie tknął - i zapewne nigdy nie tknie.

Bunny bez zastanowienia wsunęła klucz z powrotem w zamek.

- Przypuszczam, że doprowadzenie do porządku twoich włosów zajmie nam co najmniej pół nocy.

- A co z twoim mężem?

- Niech sam pootwiera sobie puszki.

## 2

Karen rozparła się wygodnie w wielkim lotniczym fotelu, w klasie biznes, z wolną sącząc sok pomarańczowy. Tuż obok McAllister Taggert siedział zatopiony w papierach, które wyciągnął z nesesera, gdy tylko weszli do samolotu.

Kiedy rankiem, po przyjeździe na lotnisko, wprowadzono ją do wytwornego saloniku, Karen ze zdumieniem spoglądała wokół, ponieważ w ogóle nie miała pojęcia o istnieniu podobnych pomieszczeń.

Dyskretnie usiadła w fotelu naprzeciw Taggerta, który nie raczył się z nią przywitać, czy choćby podnieść głowy znad papierów. Dziesięć minut później spojrzał zadumany wzrokiem przed siebie, a następnie wrócił do pracy. Karen poczuła wielką satysfakcję, gdy nagle zeszytniał, po czym znów popatrzył na nią szczerze zdumiony.

- Czy to naprawdę Karen Lawrence? - zapytał, utwierdzając ją w przekonaniu, że trzy godziny spędzone w salonie Bunny - z kawałkami folii na głowie i oczyszczającą maseczką na twarzy - a potem kolejne trzy godziny przerzucania zawartości szafy - nie poszły na marne.

Wprawdzie oznajmił, że musi popracować, ale od czasu do czasu unosił wzrok znad dokumentów, posyłając jej pełne uznania spojrzenia.

Teraz, w samolocie, siedząc u jego boku, powoli zaczynała umierać z nudów.

- Czy mogłabym ci w czymś pomóc? - spytała, wskazując głową na papiery.

Posłał jej uśmiech, jakim mężczyźni obdarzają kobiety, gdy uważają, że są piękne, ale pozbawione mózgu.

- Gdybym zabrał laptopa, mogłabyś coś dla mnie przepisać, ale w tej sytuacji nie mam dla ciebie nic do roboty. Po prostu muszę rozważyć kilka decyzji.

Och, oczywiście, pomyślała. Poważne Męskie Sprawy.

- Jakich decyzji? - nie dawała za wygraną.

Nieznaczenie ściągnął swoje idealnie zarysowane brwi. Bez wątplenia uważał, że w jego obecności kobiety powinny milczeć.

- Dotyczących kupna i sprzedaży - odrzekł ogólnikowo. Jego ton niedwuznacznie sugerował, że jak najszybciej powinna skończyć z tymi dziecięcymi pytaniami.

- A co dokładnie zamierzasz sprzedać lub kupić tego ranka?

Teraz jego brwi połączyły się nad nosem w grubą krechę. Miłość to taka dziwna rzecz, pomyślała Karen. Gdyby Ray posłał jej podobne spojrzenie, od razu by zamilkła. Natomiast ten mężczyzna nie wzbudzał w niej żadnego respektu.

- Rozważam kupno niewielkiego wydawnictwa - rzucił szybko, kiedy zorientował się, że Karen nie zamierza zaprzestać swego dochodzenia, po czym znowu zagłębił się w papierach.

- Ach, tak. Coleman & Brown. Fatalne okładki, głównie prze-

druki. Kilka niezłych książek na temat historii Kolorado. Tylko że szata graficzna tak fatalna, że nikt nie chciał ich kupować.

McAllister posłał jej spojrzenie mówiące jednoznacznie, że nie powinna wtykać nosa w nie swoje sprawy.

– Jeżeli zdecyduję się kupić to wydawnictwo, od razu zwolnię obecnego dyrektora artystycznego.

– To wykluczone. Jest kochanką wydawcy.

McAllister miał właśnie przełknąć łyk soku. Po słowach Karen o mały włos się nie zakrztusił.

– Co takiego?

– Byłam ciekawa, co się tam dzieje, więc gdy ich sekretarka przyszła do nas, by dostarczyć zestawienia finansowe, zaprosiłam ją na lunch. Powiedziała mi, że wydawca – żonaty, z trójką dzieci – od wielu lat romansuje z szefową działu artystycznego. Jeżeli ją zwolni, ona natychmiast doniesie o wszystkim żonie, a to do niej należy wydawnictwo. Wyjątkowo paskudna sytuacja.

– I co byś doradzała? – spytał Mac, nie kryjąc sarkazmu.

– Żeby kupić wydawnictwo, obsadzić kompetentnymi ludźmi, a potem połączyć kilka drobnych monografii na temat miejscowej historii w jeden gruby tom i sprzedawać szkołom jako podręcznik. Na podręcznikach można zarobić duże pieniądze.

Mac przyglądał się jej w zamyśleniu.

– I to jedynie czysta ciekawość pchnęła cię do zdobycia tych wszystkich informacji?

Karen odwróciła się do okna i wbiła wzrok w budynki lotniska. Jeszcze nigdy nie tęskniła do Raya tak, jak w tej chwili. Wysłuchiwał jej z uwagą, intrygowały go jej pomysły, doceniał jej wyobraźnię. Niestety, pod tym względem większość mężczyzn była tak ograniczona, jak facet siedzący u jej boku.

Mac nie odezwał się już, dopóki nie wystartowali i nie zaczęli wznosić się nad miastem.

– Czy jeszcze jakieś inne przedsięwzięcia zwróciły twoją uwagę? – spytał cicho. – Silniki odrzutowe? Oczyszczalnie ścieków? Ciężki sprzęt drogowy?

Wiedziała, że mówi to z ironią, ale wyczuwała też w jego głosie autentyczne zaciekawienie.

– Interesuję się jedynie drobnymi inwestycjami, szczególnie na terenie Denver.

– A mianowicie? – zapytał unosząc brew.

– Takimi jak dom towarowy Lawsona.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Ten budynek to obraza dla oczu, jest najszpetniejszy w mieście. Już otrzymałem doskonałą ofertę od Glitter & Sass.

– To sieć specjalizująca się w sprzedaży kurtek ze skóry, zdobionych łańcuchami?

– Raczej cyrkoniami. – Rozparł się wygodniej w fotelu, najwyraźniej rozważając coś w duchu. – A co ty byś zrobiła z tym budynkiem?

Kiedy nie odpowiedziała, uśmiechnął się pod nosem.

– No, dalej. Chyba nie obleciał cię strach? Jeżeli uznałaś za stosowne pouczyć mnie, jak powinienem prowadzić interesy, nie możesz poprzestać tylko na jednej sugestii.

– A więc dobrze – odparła wojowniczo. – Otworzyłabym sklep z artykułami dla kobiet w ciąży i niemowląt.

Spodziewała się, że po tym oświadczeniu Mac odwróci się z obrzydzeniem, ale nic podobnego się nie stało. Siedział spokojnie, cierpliwie czekając, by rozwinęła temat.

Karen wzięła głęboki oddech.

– W Anglii istnieje sieć podobnych sklepów, nazywa się Mother-care. Sprzedają tam wszystko dla przyszłych matek i ich dzieci: ubrania ciążowe, wózki, mebelki do pokoju dziecka, pieluchy, dosłownie wszystko. W Stanach, żeby kupić te rzeczy, trzeba iść do kilku różnych sklepów, a gdy jest się w ósmym miesiącu ciąży i ma się opuchnięte stopy, a do tego dwójkę małych dzieci na głowie, taka wyprawa staje się koszmarem. Co prawda nie mam w tej sprawie żadnych osobistych doświadczeń, sądzę jednak, że możliwość kupna tego wszystkiego w jednym miejscu byłaby dla kobiet wielkim udogodnieniem.

– A jak nazwałabyś taki sklep? – spytał cicho Mac.

– Sanktuarium? – odparła tonem niewiniątka, wywołując śmiech Taggerta.

McAllister wyjął z nesesera arkusz papieru i pióro.

– Proszę. Spisz wszystko, co wiesz na temat wydawnictwa Coleman & Brown. Opatrz to własnymi komentarzami. I nie pomijaj niczego – żadnych plotek czy pogłosek. Chcę wiedzieć, jak przekształcić tę firmę w kwitnący interes.

Karen usilnie starała się powstrzymać uśmiech, bezskutecznie jednak. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Mac nigdy wcześniej nie pytał żadnej kobiety o opinię w sprawie dotyczącej interesów. Zarządzany przez niego oddział korporacji Montgomery-Taggart był mały i choć szefami działów były kobiety, każdy wiedział, że McAllister wszystkie decyzje podejmuje jednoosobowo. Doprowadzał tym do furii ludzi, którzy dla niego pracowali. A jeszcze większą

wściekłość wzbudzał w nich fakt, że decyzje szefa zawsze okazywały się słuszne.

I nagle to właśnie ją poprosił o opinię!

– Rozkaz, kapitanie – odrzekła lekko kpiącym tonem i zabrała się do pisania, co nie przeszkadzało jej pochwyć kątem oka uśmiechku, błakającego się po jego ustach.

Jeżeli Karen sądziła, że Taggart okaże jej w końcu nieco ciepła, to przekonała się szybko, jak płonne były jej nadzieje. Przez resztę lotu jeśli nie trzymał nosa w papierach, to rozmawiał przez telefon. Jadł jedną ręką – bo z drugiej ani na moment nie wypuszczał jakichś dokumentów. Kiedy wylądowali na lotnisku Dullesa, tuż pod Waszyngtonem, wręczył jej trzy banknoty studolarowe ze słowami: „Na bieżące opłaty”, po czym wskazał głową taśmę z walizkami. Karen czuła pokusę, by wręczyć jeden banknot bagażowemu, w końcu jednak zapłaciła mu tylko pięć dolarów z własnej kieszeni i udała się na poszukiwania Maca. W końcu to on ją znalazł i szybko wyszli na zewnątrz, na mroźne, rześkie powietrze, gdzie czekał już wynajęty samochód.

W ciepłym wnętrzu samochodu, tak blisko Taggerta, Karen poczuła się nagle zażenowana i gorączkowo zaczęła szukać w głowie jakiegoś tematu do rozmowy.

– Jeżeli mam udawać twoją narzeczoną, czy nie powinnam dowiedzieć się czegoś więcej na twój temat?

– A co cię interesuje? – zapytał w taki sposób, że z niesmakiem odwróciła głowę.

– Nic szczególnego. Zapewne świadomość, że jesteś nieprzytomnie bogaty, powinna być wystarczająca dla każdej kobiety.

Karen sądziła, że Mac się roześmieje lub rzuci jakąś sarkastyczną uwagę, lecz tylko spoglądał na drogę z bardzo skupionym wyrazem twarzy. Przez resztę podróży nie podejmowała więc już żadnych prób rozmowy. Postanowiła, że jeśli ktoś ją zapyta, czemu zdecydowała się poślubić M. J. Taggerta, odpowie że dla alimentów.

Stanową autostradą dojechali do Alexandrii, a potem skręcili w boczną drogę wijącą się wśród malowniczych, lesistych terenów, gdzieś urozmaiconych pięknymi posiadłościami. W końcu wjechali w zwirowy podjazd, skracający ostro w prawo. Po kilku minutach oczom Karen ukazał się dom. Był jak z bajki – niewątpliwie w dzieciństwie każdy marzył, by spędzić święta Bożego Narodzenia w podobnym miejscu: dwa piętra, wysokie kolumny podtrzymujące ganek, harmonijnie rozmieszczone okna. Karen miała

nieprzeparłe wrażenie, że za chwilę wyjdą im na powitanie Marta i Jerzy Waszyngtonowie.

Frontowy trawnik i przylegający do domu ogród były pełne ludzi: niektórzy grali w piłkę, inni kursowali między domem a przybudówką z naręczami drew, jeszcze inni po prostu spacerowali. I wszędzie wokół aż się roiło od dzieci.

Gdy tylko samochód znalazł się w pobliżu domu, dopadła ich horda znajomych Maca. Szybko otworzyli drzwi i wyciągnęli Karen na zewnątrz, wykrzykując swoje imiona: Laura i Deborah, Larry, Dave i...

Pewien bardzo przystojny mężczyzna pochwyił ją w ramiona i serdecznie ucałował w usta. Zaskoczona Karen wydała z siebie bliżej nieokreślony dźwięk, po czym wbiła oczy w nieznanego.

– Jestem Steve – przedstawił się usłużnie. – Pan młody. Czyżby Mac nie opowiadał ci o mnie?

Bez zastanowienia, wypaliła w odpowiedzi:

– Taggart nigdy ze mną nie rozmawia, o ile nie ma do załatwienia jakiejś konkretnej sprawy.

Ledwo wyrzekła te słowa, popadła w konsternację. Jak mogła być tak głupia?! To przecież jego przyjaciele, co sobie o niej pomyślały?!

Ku jej zdziwieniu, wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Mac, wreszcie znalazłeś kobietę, która przejrzała cię na wylot! – wykrzyknął Steve ponad dachem samochodu, obejmując Karen ramieniem. Z drugiej strony objęła ją jakaś bardzo ładna kobieta i razem, wciąż się śmiejąc, wprowadzili ją do domu.

Ruszyli przez kilka wielkich, wspaniałych pokoi z olbrzymimi kominkami, w których trzaskał ogień, potem po szerokich schodach na piętro, przeszli przez kolejne dwa hole, aż stanęli przed podwójnymi, białymi drzwiami. Steve otworzył je na oścież.

– Teraz masz Maca wyłącznie dla siebie – rzucił ze śmiechem, po czym pchnął ją do środka i zamknął drzwi.

W pokoju, do którego przyniesiono już ich walizki, stał Taggart. Rzecz w tym, że znajdowało się tam tylko jedno podwójne łóżko.

– Zdaje się, że zaszło jakieś nieporozumienie – oświadczyła Karen.

Mac ze ściągniętymi brwiami wpatrywał się w kontrowersyjny mebel.

– Już próbowałem rozwiązać ten problem, ale okazuje się, że nic nie można poradzić. Dom jest przepelniony. Wszystkie miejsca do spania zostały już rozdzielone. Posłuchaj, jeżeli się obawiasz, że zaatakuję cię w nocy, spróbuję wynająć ci pokój w hotelu.

Zawsze potrafił powiedzieć coś takiego, co wywoływało w niej wojowniczy nastrój.

- Skoro dom jest pełen ludzi, mogę być spokojna: jeśli zaczną krzyczeć, ktoś na pewno mnie usłyszy.

Uśmiechnął się lekko i zaczął rozpinać koszulę.

- Muszę wziąć prysznic. Za godzinę ma się odbyć generalna próba ślubu.

Patrzył na nią tak, jakby oczekiwał, że Karen wzorem bohaterów romansów rozgrywających się w czasach Regencji ucieknie na samą myśl, że mężczyzna mógłby obnażyć przed nią tors. Ona jednak całkiem to zignorowała.

- Proszę, nie zaparuj lustra - powiedziała, po czym zaczęła się krzątać po pokoju, jakby dzielenie sypialni z obcym mężczyzną było rzeczą najnaturalniejszą na świecie.

Śmiejąc się cicho pod nosem, wszedł do łazienki i zostawił uchylone drzwi, by para mogła wydostawać się na zewnątrz.

Gdy została sama, odetchnęła z ulgą i rozluźniła ramiona. Przydzielony im pokój był piękny - stały w nim secesyjne meble, a ściany pokrywał zielony jedwab. Słyszac szum płynącej wody, zabrała się energicznie do rozpakowywania walizek. I dopiero kiedy wszystko leżało już w szafie i komodach, zdała sobie sprawę, że zajęła się również bagażem Taggerta. Widok męskich ubrań koło jej rzeczy wzbudzał nostalgiczne wspomnienia.

Odwróciła się więc od szafy i zobaczyła Taggerta stojącego pośrodku pokoju, z mokrymi włosami, owiniętego w miękką płaszcz kąpielowy.

- Ja... hm... nie miałam zamiaru rozpakowywać twojej walizki... ale... Cóż, przyzwyczajenie - wykrztusiła w końcu i szybko weszła do łazienki, starannie zamykając za sobą drzwi.

Siedziała tam najdłużej, jak mogła. Po wyjściu przekonała się z ulgą, że Taggerta nie było już w pokoju. Ubrała się szybko i zbiegła po schodach do holu. Całe towarzystwo wsiadało do samochodów, aby pojechać do kościoła.

Przez całą drogę irytacja Karen narastała. Jeżeli miała uchodzić za jego narzeczoną, czy nie powinien okazywać jej nieco więcej względów? On tymczasem porzucił ją przed frontowymi drzwiami domu, skazując na łaskę i niełaskę zupełnie obcych ludzi. Nie dziwnego, że tak wiele kobiet ostatecznie nie decydowało się go poślubić, pomyślała Karen. Niewątpliwie były na to zbyt rozsądne i inteligentne.

Próba w kościele przebiegała gładko aż do chwili, gdy - już po ceremonii - drużbowie i druhny mieli odejść od ołtarza. Mac powi-

nien ruszyć jako pierwszy, dojść do środka nawy, podać ramię Karen, po czym udać się z nią do wyjścia. Może dokładnie nie usłyszał wskazówek, a może był zamysłony, w każdym razie doszedł do środka, po czym samotnie ruszył przed siebie.

Tego było już dla Karen za wiele.

- Przecież wszyscy wiemy, jaki jest Taggert - rzuciła lekkim tonem. - W każdej sytuacji przekonany o własnej samowystarczalności.

Dopiero gdy rozległy się głośnie śmiechy, Mac zdał sobie sprawę ze swojej pomyłki. Cofnął się, złożył Karen pełen galanterii ukłon, po czym podał jej ramię.

- Odbijasz sobie za te wszystkie weekendy spędzone przy klawiaturze? - spytał szeptem.

- Biorę odwet w imieniu tych wszystkich kobiet, które były zbyt nieśmiałe, żeby ci się postawić - odparła ze złośliwym uśmiechem.

- Nie jestem takim potworem, jak ci się wydaje.

- Zapytam Elaine o opinię w tej sprawie. A tak à propos, kiedy się tu zjawi?

Gdy tylko Karen spojrzała mu w twarz, natychmiast pożałowała tej uwagi.

- W dzień Bożego Narodzenia - odrzekł miękko i odszedł w kierunku grupy znajomych.

Kolacja po próbie przebiegała w wyjątkowo wesołym nastroju. Wszyscy, przekrzykując się nawzajem, rozprawiali o wspólnie spędzonych wakacjach i miejscach, które razem odwiedzali. Początkowo Karen w milczeniu wpatrywała się w talerz, nie wtrącając się do rozmowy. Ci ludzie znali się tak dobrze i tak wiele ich łączyło! Taggert siedział po przeciwnej stronie stołu i też był raczej mało mówny. Od czasu do czasu Karen zerknęła na niego i wydawało jej się, że on też spogląda w jej stronę, ale tak szybko odwracał wzrok, że nie mogła być tego pewna.

- Karen - po jakimś czasie zwróciła się do niej jedna z kobiet i wówczas wokół stołu zapanowała cisza - gdzie jest twój pierścionek zaręczynowy?

Karen nie wahała się długo.

- Mac wykupił wszystkie zapasy, czekamy więc na nową dostawę brylantów. Wiecie przecież, że kupuje je hurtem.

Zgromadzeni przy stole wybuchnęli tak głośnym śmiechem, że aż zatrzęsły się okna restauracji. Nawet Taggert śmiał się serdecznie, poklepywany po plecach przez Steve'a.

Chwilę później posypały się okrzyki w rodzaju: „Nie wolno ci wypuścić jej z rąk, Mac”, a także: „Twój gust, gdy chodzi o kobiety, zdecydowanie się poprawił”.

I już do końca kolacji Karen była zasypywana pytaniami. Szczególnie dwie kobiety siedzące naprzeciwko chciały się dowiedzieć wszystkiego o jej pracy, rodzinie i domu, w którym dorastała. Kiedy powiedziała im, że Mac jest jej szefem, wykazały wielkie ożywienie i chciały koniecznie wiedzieć, jak się dla niego pracuje.

– Człowiek czuje się w firmie bardzo samotny – odrzekła Karen. – Prawdę mówiąc, wszyscy jesteście prawie bezużyteczni. Potrzeba mu najwyżej jednej osoby, by od czasu do czasu przepisała dla niego jakiś list.

Przez cały ten czas Mac w milczeniu zajmował się jedzeniem, ale teraz Karen stale czuła na sobie jego wzrok. I nawet gdy Steve się nachylił, by mu coś powiedzieć, Taggart nie spuszczał jej z oczu.

Dopiero kiedy znaleźli się w „swoim” pokoju, Karen doszła do wniosku, że może jednak posunęła się za daleko.

– Jeżeli chodzi o dzisiejszy wieczór... – zaczęła nieśmiało, gdy mijał ją, wychodząc z łazienki. – Chyba nie powinnam była...

– Czyżby nagle obleciał cię tchórz? – zapytał, przysuwając twarz bardzo blisko do jej twarzy.

Zupełnie bez sensu Karen pomyślała w owej chwili, że Mac ma doprawdy wyjątkowo piękne usta. Szybko jednak wzięła się w garść.

– Ależ skąd.

– To dobrze. A teraz może będziesz łaskawa mi powiedzieć, co zrobiłaś z moimi spodniami od dresu?

– Czy trochę nie za późno na jogging? – spytała odruchowo, zanim zdała sobie sprawę, że w ogóle nie powinno jej to obchodzić.

Mac posłał jej ironiczny uśmiezek.

– Jeżeli wolisz, żebym spał nago...

– Trzecia szuflada po lewej – rzuciła szybko i pomknęła do łazienki.

Kiedy w końcu z niej wyszła, ubrana w purytańską, białą koszulę zapinaną pod samą szyję, Mac był już w łóżku, którego dwie połowy rozdzielal grubo walek.

– Skąd go wytrzasnałeś? – zainteresowała się Karen.

– Ukradłem.

– A więc teraz jakiś nieszczęśnik śpi na posłaniu bez podglówka.

– Chcesz, żebym go zwrócił? Mogłabyś wtedy zasnąć w moich ramionach, albo – co wydaje mi się jeszcze bardziej kuszące – mo-

glibyśmy podjąć poważną dyskusję na temat owego wspomnianego przez ciebie naczynia.

– Dobranoc – oznajmiła stanowczym głosem i odwróciła się do niego plecami, przez cały czas jednak z jej ust nie schodził lekki uśmiech.

### 3

Rankiem, kiedy Karen otworzyła oczy, ujrzała fantastycznie przystojnego mężczyznę, z ręcznikiem owiązanym wokół bioder, gołocącego się przed lustrem w łazience. Przez kilka chwil, zanim przebudziła się na dobre i uzmysłowiła sobie, gdzie się znajduje, oczami wyobraźni ujrzała, jak podchodzi do łóżka, całuje ją, odrzuca ręcznik i wsuwa się pod prześcieradła. Przez tę chwilę przypomniała sobie, jak to jest, gdy obejmuje się mężczyzną, czuje ciepło jego ciała, słodki ciężar...

– Nie miałabyś ochoty podzielić się ze mną tymi myślami? – spytał Mac, nie odwracając się, ale obserwując jej odbicie w lustrze.

Szybko odwróciła twarz, by nie zobaczył, że się zarumieniła, po czym zwlokła się z łóżka, chwyciła szlafrok i podeszła do szafy, głównie po to, by się znaleźć poza zasięgiem jego wzroku.

– Masz jakieś plany na dzisiaj? – zapytał, wychodząc z łazienki i wycierając resztki piany z twarzy.

Wciąż miał na sobie jedynie skąpy ręcznik.

Szybko otworzyła szafę, by odgrodzić się drzwiami od Maca. Czy codziennie chodzi na siłownię? Niewątpliwie, inaczej nie miałby tak idealnej sylwetki. A czy ten ciepły, miodowy odcień był naturalnym kolorytem jego skóry?

– Zakupy – wymamrotała pod nosem.

– Zakupy? Masz na myśli kupowanie prezentów?

– Ja... hm... – mruknęła, pilnie wbijając oczy w ubrania wiszące w szafie, które w tej chwili zlewały się jej w jedną wielobarwną masę. – Tak. Podarunków gwiazdkowych. Poza tym wypadałoby kupić prezent ślubny.

Wzięła głęboki oddech. Musi natychmiast się opanować! Odwróciła się i z heroiczną wprost odwagą spojrzała mu prosto w oczy.

– Jutro jest Boże Narodzenie i jeżeli mam tutaj spędzić ten dzień, nie mogę zejść rano z pustymi rękami. Znasz w okolicy jakieś dobre centrum handlowe?

- Tyson's Corner - odrzekł szybko. - Jedno z najlepszych w całym kraju. Ja też muszę zrobić świąteczne zakupy, pojedziemy tam więc razem.

- Nie! - wykrzyknęła Karen, ale szybko wzięła się w garść. - To znaczy, chciałam powiedzieć, że łatwiej mi się skoncentrować, jak jestem sama.

Już dawno nie wypowiedziała równie oczywistego kłamstwa. Samotne zakupy świąteczne z przyjemności zmieniały się w ciężki obowiązek.

- A skąd będziesz wiedziała, dla kogo kupić prezenty? Czy umiałabyś powiedzieć, jak dużo jest tu dzieci? Bo rozumiem, że przede wszystkim chciałabyś obdarować dzieciaki.

- Wypisz na kartce wszystkie imiona, a ja już załatwię, co trzeba.

Nie miała zamiaru spędzić całego dnia z tym mężczyzną - tym bardziej że coraz trudniej przychodziło jej oderwać wzrok od jego szerokiego torsu.

- Nie mam pod ręką nic do pisania - odparł z uśmiechem. - Za to wszystko mam w głowie.

- Możesz mi podyktować listę nazwisk. Poza tym, pomyśl, o ile przyjemniej byłoby tu zostać i pograć w piłkę.

- Jestem tłustym, zapuszczonym facetem, spędzającym całe życie za biurkiem. Gdybym się do nich przyłączył, roznieśliby mnie na strzępy.

Karen parsknęła śmiechem, bo zapewne żaden z obecnych tu mężczyzn nie był w tak świetnej formie fizycznej, jak Mac.

Nie czekając na odpowiedź, chwycił z wieszaka płaszcz kąpielowy, po czym cmoknął Karen w policzek.

- Bądź tak dobra i wybierz mi coś do ubrania, dobrze? Muszę wykonać kilka telefonów. Przyjdę po ciebie za pół godziny.

Zanim Karen zdążyła zaprotestować, już zniknął za drzwiami. Oczywiście, wszystkie feministki przeszyłyby dreszcz zgrozy na myśl, że kobieta ma szykować ubranie dla autokratycznego, aroganckiego, zarozumiałego mężczyzny, jakim bez wątpienia był McAllister Taggart. Rzecz w tym, że przyszło jej to do głowy dopiero, kiedy już wyjęła z szafy ciemne, wełniane spodnie, włoską koszulę i elegancki angielski sweter. Kiwając z politowaniem głową nad własną głupotą, ruszyła do łazienki.

Godzinę później, po szybkim śniadaniu, wyszli z domu i skierowali się do wynajętego samochodu. Na trawniku, jak poprzedniego dnia, pan młody z grupą innych mężczyzn, rozgrywali mecz futbolowy. Steve od razu zaproponował Macowi, by wziął udział w grze.

- Nie mogę. Karen wymusiła na mnie wyprawę po zakupy - odkrzyknął.

- Coś podobnego! - zbuntowała się Karen. - Jakbym sama nie umiała zrobić zakupów! Rzecz w tym, że Taggart boi się do was przyłączyć, bo jest przekonany, że nie wyszedłby z tego cało.

Ignorując śmiechy, Mac wykrzyknął w stronę Steve'a:

- Co chcielibyście dostać w prezencie ślubnym?

- Od ciebie Taggart, co najmniej lamborghini - odparł Steve. - Natomiast od Karen przyjmę wszystko, co zechce mi ofiarować.

- To tak, jak ja! - wykrzyknął inny mężczyzna.

Mile polectana, posłała graczom pełen wdzięczności uśmiech, który zyskał jeszcze na uroku, gdy zauważyła, że Mac gniewnie marszczy brwi.

- Jacy oni mili - oświadczyła, wsiadając do samochodu.

Wpatrzony w tylną szybę Mac, manewrujący na wstecznym biegu pomiędzy innymi samochodami wypełniającymi podjazd, nie zareagował na jej uwagę.

Może to z powodu męskich pochlebstw, a może ponurego milczenia, jakim zareagował na nie Taggart - w każdym razie po przyjeździe do centrum Tyson's Corner Karen była w wyjątkowo dobrym nastroju.

- To do jakiego sklepu idziemy w pierwszej kolejności? - zapytała, gdy tylko weszli do środka.

Mac typowo męskim gestem wzruszył lekko ramionami, co zawsze w takich sytuacjach oznaczało, że kobieta powinna przejąć inicjatywę.

- Pora słonia - mruknęła pod nosem.

- Słucham? - rzucił chłodno.

- Tak mówiłam, gdy razem z mężem szliśmy na zakupy. Zawsze wymigiwał się od podjęcia decyzji, co komu należałoby kupić, ale bez szermowania nosił wszystkie paczki. Dlatego nazywałam go swoim słoniem.

Mac przez chwilę rozważał jej słowa, a potem uniósł ramię, zacisnął dłoń w pięść i naprężył biceps.

- Chętnie poniosę wszystko, co na mnie zarzucisz.

- Jeszcze zobaczymy - odparła ze śmiechem. - A tak przy okazji, kiedy powiedziałeś, że „my” będziemy dawać prezenty, kto ma za nie płacić?

- Ja? - zapytał z komicznym westchnieniem, jakby przez całe życie płacił za wszystkie jej zakupy.

- Doskonale - rzuciła przez ramię. - Twoje pieniądze, mój gust.

- Podrzucić mi tylko od czasu do czasu orzeszka w nagrodę, a będę bardzo potulny.

Trzy godziny później Karen była wyczerpana, ale wyjątkowo szczęśliwa. Już zapomniiała, jak to jest, gdy robi się zakupy wspólnie z mężczyzną. Mac nigdy się nie zastanawiał, która z alternatywnych propozycji będzie lepsza. „Bierzemy to”, mówił bez wahania lub stwierdzał autorytatywnie: „Nie widzę różnicy”. Kiedy jednak miał zaproponować jakiś prezent, nie przychodziło mu do głowy nie oprócz kompaktów. Dwukrotnie więc Karen zostawiała go na ławce z pakunkami, sama zaś zajmowała się kupowaniem kosmetyków oraz koszy z owocami i serami. Za to nie można go było wyciągnąć ze stoiska z układankami, gdzie kupił ogromne, trójwymiarowe puzzle, przedstawiające Empire State Building. Poza tym odwiedziła pozostałych dziewięć sklepów z zabawkami, wybierając w każdym tyle rzeczy, że Karen zaczęła w końcu podejrzewać, iż kupili o wiele więcej prezentów, niż było oczekujących na nie dzieci.

– Czy w planie naszej wyprawy był przewidziany lunch? – zapytał Mac po wyjściu z ostatniego sklepu z zabawkami, jakim mogło się poszczycić centrum.

– Jesteś pewien, że chcesz już iść na lunch? W tym ostatnim sklepie został jeszcze jeden bardzo ładny samochodek. Może powinienś wrócić i go kupić.

– Jeść, kobietol! – warknął pod nosem, prowadząc ją w stronę barku, gdzie złożyli zamówienie, wzięli w rękę napoje i znaleźli odpowiednio dużą łożę, by Mac mógł złożyć wszystkie pakunki, bo ani przez chwilę nie pozwalał Karen niczego nosić.

– Jesteś bardzo dobrym słoniem – orzekła z uśmiechem, kiedy już się wygodnie usadowili.

Mac popatrzył na nią uważnie.

– Jakie konkretne plany poczyniłaś względem sklepu Lawsona?

Karen była w zbyt dobrym nastroju, by kłamać.

– Nie musisz traktować mnie protekcyjnie. Tak jak nie musisz wysłuchiwać moich dziecinnych pomysłów. Oboje dobrze wiemy, że choć dziś świetnie się razem bawimy, gdy tylko wrócimy do Denver, zabawa się skończy. Ty jesteś ważnym szefem, a ja tylko podrzędną sekretarką.

– Podrzedną sekretarką, mówisz? – Uniósł sceptycznie brew, po czym sięgnął pod sweter i z kieszeni koszuli wyjął kilka złożonych arkuszy, najwyraźniej przesłanych faksem. – Ty, twój mąż i Stanley Thompson przez sześć lat byliście właścicielami sklepu z narzędziami i sprzętem ogrodniczym. Ale jedynie ty i twój mąż generowaliście zyski tego sklepu. Stanley Thompson był tylko kulą u nogi.

Karen spojrzała na niego ze zdumieniem, a tymczasem Mac mówił dalej.

– Tuż po ślubie Ray pracował na dwóch etatach, a ty w domu dorabiałaś maszynopisaniem. Oszczędzaliście każdego centa, by kupić połowę udziałów w sklepie Thompsona, który potem doskonale zreorganizowaliście. Ray znał się na narzędziach i urządzeniach mechanicznych, a ty na wszystkim innym. Redagowałaś ogłoszenia, które przyciągały ludzi do waszego sklepu i zarządzałaś funduszami, decydując, na co możecie sobie pozwolić, a na co nie. To ty wpadłaś na pomysł, by stworzyć małe centrum ogrodnicze i w ten sposób przyciągnąć do sklepu również kobiety – i wkrótce właśnie ta inwestycja zaczęła przynosić największe zyski. Po śmierci Raya dowiedziałaś się, że Thompson dopuścił was do interesu tylko pod warunkiem, że gdyby twojemu mężowi przytrafiło się coś złego, będzie miał prawo wykupić twoje udziały za pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– W czasie gdy spisywano tę umowę, była to uczciwa cena – zaprotestowała Karen, bo miała wrażenie, że Mac zarzuca Rayowi wynegocjowanie złego kontraktu.

– Rzeczywiście, w dniu sprzedaży udziałów ich wartość wynosiła zaledwie trzydzieści tysięcy dolarów, ale do czasu śmierci Raya zdołaliście przekształcić ten sklep w tak kwitnący interes, że połowa jego wartości znacznie przekroczyła pięćdziesiąt tysięcy.

– Mogłam zostać jako pełnoprawny wspólnik – powiedziała Karen cicho.

– Pod warunkiem, że sypiałabyś z Thompsonem.

– Szpiegowanie leży w twojej naturze?

– Powodowała mną czysta ciekawość, nic więcej – odparł z szelmowskim błyskiem w oku.

W tym momencie kelnerka przyniosła im zamówione dania, a gdy tylko odeszła od stolika, Mac zapytał:

– Czy zechcesz w końcu podzielić się ze mną swoimi pomysłami dotyczącymi tego sklepu dla matek?

– Właściwie specjalnie się nad tym nie zastanawiałam, więc moje wyobrażenia nie są wyraźnie sprecyzowane – odrzekła, bawiąc się słomką zanurzoną w mrożonej herbacie.

Słyszając to, Mac parsknął śmiechem, po czym pchnął w jej stronę pióro i papierową serwetkę.

– Gdybyś dysponowała nieograniczoną ilością gotówki i była właścicielką sklepu Lawsona, co byś zrobiła?

Karen się zawahała, ale nie na długo. Prawdę powiedziawszy, wiele myślała na ten temat i to już od bardzo dawna.

– W samym centrum umieściłabym przeszkloną salę zabaw dla dzieci, żeby matki przez cały czas mogły mieć je na oku. Jeżeli matka zamierzałaby spędzić w sklepie więcej czasu, oznakowałabym dzieci. Zakładałabym im takie klipsy, jakie w domach towarowych przyczepia się do ubrań, tak że gdyby ktoś jakimś cudem wy dostało się z sali, lub gdyby ktoś próbował je stamtąd wyprowadzić, przy drzwiach rozdzwoniłby się alarm.

Mac nie odezwał się słowem, tylko pytająco uniośł brwi.

– Zakłada się coś takiego na ubrania, by nikt ich nie ukradł, a przecież dzieci są o wiele więcej warte niż koszule, prawda? Z drugiej strony, jak kobieta ma przymierzać coś w spokoju, kiedy drze się jej nad głową znużony czterolatek? – Karen przelknęła kilka kęsów swojego dania, po czym wyjaśniała dalej: – Dookoła sali zabaw rozmieściłabym poszczególne działy: ubrania ciężowe, meble dziecięce, wyprawki dla niemowląt, poradniki dotyczące rozmaitych aspektów wychowania dzieci, materiały audiowizualne. Poza tym zatrudniłabym wyjątkowo kompetentne sprzedawczynie. I koniecznie grube.

Mac posłał jej ironiczny uśmiech.

– Nie, to naprawdę jest ważne. Moja szwagierka właśnie urodziła dziecko, a gdy była w ciąży wciąż narzekała na anorektyczne sprzedawczynie, które patrzyły na nią z pełnym wyższości politowaniem, ile razy pytała, czy mają coś w rozmiarze XXXL. Zatrudniłabym też doskonale gorseciarki i wszędzie porozkładałabym bezpłatne broszury informujące, do jakich organizacji mogą się zgłosić kobiety w ciąży, jeśli miałyby jakieś pytania czy problemy. Oczywiście, podpisałabym także umowę z najbliższym gabinetem ginekologicznym na wypadek, gdyby w sklepie wydarzyło się coś nieoczekiwanego. A na dodatek... – Urwała gwałtownie, gdy spojrzała mu w twarz.

Mac się śmiał!

– Nie myślałaś dużo na ten temat, co?

– No, może trochę – odrzekła rozbawiona.

– A finanse? Tylko nie próbuj mi wmówić, że co do centa nie wylczyłaś, ile kosztowałoby otwarcie podobnego sklepu.

Karen znów zajęła się jedzeniem, po chwili jednak się przyznała:

– Rzeczywiście, trochę zabawiałam się liczbami.

– Kiedy wrócimy do Denver, chcę żebyś położyła mi swoje wylczenia na biurku, a ja... – zamilkł, bo w tej samej chwili Karen wyjęła z torebki dyskietkę. Wziął ją do ręki, po czym z marsową miną zapytał: – Kiedy zamierzałaś mi ją dać?

Dobrze wiedziała, co myślał w tej chwili. Sądził, że to prawdziwy powód, dla którego zgodziła się spędzić z nim świąteczny week-

end. Uważał, że była jedną z tych setek osób, które próbowały się z nim skontaktować w taki czy inny sposób, by nakłonić go do sfinansowania projektów, mogących uczynić z pomysłodawców bogaczami. Szybkim ruchem wyrwała mu dyskietkę z dłoni.

– W ogóle nie miałam zamiaru ci jej dawać. Ani tobie, ani nikomu innemu – wyszczała przez zęby. – Miliony ludzi snuje marzenia i zazwyczaj na tym właśnie się kończy. Na marzeniach. – Ze złością chwyciła torebkę i płaszcz. – Przepraszam, zdaje się, że zaszło poważne nieporozumienie. Myślę, że na mnie już czas.

Mac chwycił ją za rękę i przyciągnął z powrotem do stolika.

– Wybacz mi. Naprawdę bardzo cię przepraszam.

– Czy byłbyś uprzejmy mnie puścić?

– Nie, bo wtedy uciekniesz.

– Jeśli mnie nie puścisz, zacznę krzyczeć.

– Nie, nie zaczniesz. Pozwoliłaś, żeby Stanley Thompson praktycznie cię obrabował, i nie krzyczałaś, bo nie chciałaś robić sceny w obecności jego rodziny. Ty, Karen, nie należysz do kobiet, które ułatwiają cokolwiek krzykiem.

Spojrzała na dużą opaloną dłoń, obejmującą jej nadgarstek. Mac miał rację, rzeczywiście nie była krzykaczką – ani nie umiała walczyć o swoje. Może potrzebowała świadomości, że Ray stoi za jej plecami, by mogła uwierzyć we własną wartość.

Przesunął dłoń, tak że teraz ich palce się spletały, ale Karen nie próbowała już wyrwać ręki.

– Posłuchaj. Wiem, jakie masz o mnie zdanie, ale to nie jest tak, jak myślisz. Czy kiedykolwiek wspominałaś coś komuś na temat tego sklepu dla matek i niemowląt?

– Nie.

– Ale przecież musiałaś o tym myśleć jeszcze przed śmiercią męża. Nic mu nie mówiłaś?

– Nie.

W owym czasie sklep z narzędziami całkowicie pochłaniał Raya. A Karen w żadnym razie nie zamierzała dawać mu do zrozumienia, że może chciałaby czegoś innego – czy w ogóle czegoś więcej ponad to, co już osiągnęli.

– Jestem więc zaszczycony, że zdecydowałaś się mi zaufać – oświadczył Mac. A kiedy Karen posłała mu podejrzliwe spojrzenie, dodał szybko: – Naprawdę. Uwierz mi. – Przez chwilę wpatrywał się w ich splecione dłonie, po czym powiedział cicho: – Te wszystkie intercyzy były tylko po to, żeby sprawdzić, czy podpiszą.

Karen wbiła w niego pełen niedowierzania wzrok.



– Nie żartuję. Gdyby którakolwiek z nich podpisała ten papier, natychmiast bym go podarł. Ale zawsze słyszałem jedynie: „Tatusiu uważa, że nie powinnam tego podpisywać” albo: „Mój prawnik zdecydowanie mi odradza podobny krok”. A ja jedynie chciałem mieć pewność, że tym kobietom zależy na mnie, a nie na fortunie mojej rodziny.

– To dość niegodziwy podstęp, nie sądzisz?

– Nie tak niegodziwy, jak wiązanie się ślubem, by cztery lata później występować o rozwód. A co, gdyby w tym czasie pojawiły się dzieci?

Ku własnemu zdziwieniu Karen przyłapała się na tym, że zaciska palce wokół jego palców.

– A Elaine?

– Z Elaine sprawy miały się zupełnie inaczej – odrzekł cicho i cofnął dłoń.

Już otwierała usta, żeby zadać mu kolejne pytanie, ale w tej samej chwili Mac rzucił energicznie:

– Gotowa?

Ton, jakim to powiedział, nie sprawiał wrażenia pytania, ale sugerował komendę.

Kilka minut później znaleźli się znowu w głównym holu. Mac, obładowany pakunkami, torował drogę. Karen szła za nim w zamysleniu, aż nagle jej uwagę przykuł sklep pełen najpiękniejszych dziecięcych ubranek, jakie kiedykolwiek miała okazję zobaczyć. Zatrzymała się gwałtownie. Na wystawie wisiała koszulka do chrztu z cieniutkiej bawełny, ręcznie haftowana i ozdobiona delikatnymi, bawełnianymi koronkami.

– Chcesz wejść do środka? – spytał cicho Taggert.

– Nie, w żadnym razie – odparła ostrym głosem, odwracając się od witryny.

Mac zagroził jej drogę i lekko pchnął Karen w stronę wejścia.

– Naprawdę, nie chcę... – zaczęła, urwała jednak, gdy tylko znalazła się w środku. Nigdy dotąd nie patrzyła na dziecięce ubranka jako na rzeczy, których kiedyś mogłaby sama potrzebować.

Niczym w transie, podeszła do uroczych sukieneczek, rozwieszonych dokładnie na poziomie oczu.

Mac, uwolniony od paczek przez uprzejmą ekspedientkę, stanął za plecami Karen.

– Zły wybór. Pierwsze dziecko w rodzinie Taggertów to zawsze chłopak.

– Nie ma czegoś takiego, jak „zawsze” – odparła Karen, biorąc

do ręki białą sukienkę, ręcznie wyszywaną w różowe i niebieskie kwiatki.

– To jest o wiele lepsze – oznajmił Mac, unosząc w górę małą koszulę w czerwono-niebieską kratę. – Idealna do gry w futbol.

– Nie pozwolę, żeby mój syn grał w futbol – oświadczyła stanowczo, odwieszając sukienkę i spoglądając na miniaturowe, białe garniturki, jakby szyte z myślą o prawdziwych książętkach. – To zbyt niebezpieczna gra.

– Ale to będzie również mój syn, a ja uważam...

Nagle do Karen dotarło, o czym właściwie rozmawiali. Możliwe, że rzeczywiście będą mieli dziecko, ale w gruncie rzeczy nie wspólne. Nie w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Bo przecież...

Zanim zdołała na dobre zebrać myśli, odwróciła się na pięcie, uciekła ze sklepu i zatrzymała przed wystawą butiku ze swetrami. Tam też znalazł ją Mac.

– Możemy usiąść na chwilę?

W odpowiedzi skinęła jedynie głową, bo wciąż była tak zawstydzona swoim zachowaniem w sklepie z ubrankami, że nie mogła wykrztusić słowa.

Mac posadził ją na ławce i obłożył pakunkami, a sam poszedł do pobliskiej lodziarni. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu i liźli lody.

– Dlaczego nie mieliście z Rayem dzieci? – zapytał w końcu.

– Wydawało się nam, że mamy przed sobą jeszcze mnóstwo czasu, więc ciągle odkładaliśmy tę decyzję.

– Kochałaś go?

– Tak. Bardzo.

– Był wyjątkowym szczęściarzem – powiedział i sięgnął po jej dłoń. – Zazdrościsz mu.

Karen spojrzała mu w oczy i pierwszy raz od śmierci Raya zobaczyła przed sobą innego mężczyznę, a nie twarz nieżyjącego męża, nakładającą się na rysy jakiegoś człowieka. Niespodziewanie ujrzała prawdziwego Maca Taggerta. I w tym momencie pomyślała, że jeszcze kiedyś mogłaby kogoś pokochać, a wraz z tą myślą jakby z jej serca opadła nagle żelazna obręcz.

– Karen, ja... – zaczął Mac, a potem pochylił się w jej stronę tak, jakby miał zamiar pocałować ją publicznie, w samym środku Tyson's Corner.

– O rany! – wykrzyknęła Karen. – Nie miałam pojęcia, że zrobiło się tak późno. Zapisalam się do fryzjera, aby mnie uczesał na

dzisiejszą uroczystość i w zasadzie już jestem spóźniona. Salon jest na piętrze, więc czas, żebym się zbierała.

- Kiedy zdążyłaś się umówić na to czesanie? - zapytał tonem typowym dla męża, niemogącego uwierzyć, że żona zdołała coś zrobić bez jego wiedzy.

- Jak siedziałeś w sklepie z zabawkami. - Poderwała się z miejsca. - Naprawdę muszę już lecieć - oświadczyła i ruszyła przed siebie. - Spotkamy się w tym miejscu za dwie godziny - rzuciła przez ramię, po czym zniknęła za rogiem, zanim Taggart w ogóle zdążył zareagować.

Prawdę powiedziawszy do wizyty u fryzjera zostało jeszcze pół godziny, ale Karen chciała kupić prezent dla Maca. A przede wszystkim czuła, że natychmiast musi się znaleźć jak najdalej od niego. Bo w żadnym razie nie mogła zakochać się w mężczyźnie pokroju Maca Taggerta. On jest dla ciebie absolutnie nieosiągalny, Karen - pouczyła się w duchu. Tacy mężczyźni wiążą się z kobietami, których ojcowie są co najmniej ambasadorami, z kobietami, które z zamkniętymi oczami odróżniają jeden gatunek kawioru od drugiego.

Ty kretynko - zbesztala się w myślach. Jesteś równie bez nadziejna, jak cała reszta tych biurowych idiotek. Co ci przyszło do głowy, by sądzić, że się w nim zakochałaś. A co gorsza, jak mogłaś wpaść na pomysł, że on zakochał się w tobie!

Szczęśliwie do czasu, gdy się spotkali dwie godziny później, zdołała już odzyskać spokój i równowagę. Mac siedział na tej samej ławce, na której go zostawiła, i miał wyjątkowo zadowoloną z siebie minę.

- Co porabiałeś, kiedy mnie nie było? - zapytała podejrzliwym tonem.

- Kazałem pięknie popakować wszystkie prezenty, opatrzyć stosownymi bilecikami, a potem zaniósłem je do samochodu.

- Jestem pod wrażeniem! - odrzekła, otwierając oczy w teatralny sposób.

- Przestań się ze mnie naśmiewać! I chodźmy stąd wreszcie - zarządził, chwytając ją pod ramię. - Czy spryskali ci głowę szelakiem, czy może włożyli perukę z drewna?

- Po pierwsze, to tylko lakier. Po drugie, osobiście jestem zachwycona swoją nową fryzurą.

W odpowiedzi chrząknął coś tylko pod nosem, po czym popędził do samochodu.

Kiedy wrócili do domu, panowało tam istne pandemonium. Wszyscy goście szykowali się do ślubu i zdawało się, że nie było

wśród nich osoby, która nie zgubiłaby jakiegos absolutnie niezbędego fragmentu stroju i nie poszukiwała go teraz w gorączkowym pośpiechu. W porównaniu z resztą domu „ich” sypialnia wydawała się cudowną oazą spokoju.

Karen od razu poszła wziąć kąpiel, a kiedy pojawiła się z powrotem w pokoju, całe łóżko pokrywały duże pudła i plastikowe worki na garderobę.

- Dostarczono to, kiedy siedziałaś pod prysznicem - oznajmił Taggart i natychmiast czmychnął do łazienki.

W jednym z pudeł znajdowała się biała, jedwabna bielizna: koronkowy stanik, figi i pończochy z koronkowym wykończeniem. Karen wyjęła je z opakowania w zdumieniu: nigdy nie słyszała, by druhny oprócz sukien dostawały jeszcze bieliznę do kompletu.

- Teraz już nie ma czasu na oględziny - oznajmił Mac, wchodząc do pokoju.

- Ale...

- Ubieraj się!

Karen chwyciła bieliznę i obszerną suknię, na którą zużyto co najmniej trzysta metrów szyfonu, po czym zmierzyła sceptycznym wzrokiem wąskie drzwi do łazienki.

- Nie rzucę się na ciebie, jak zobaczę cię w samej bieliźnie, ale pod warunkiem, że ty obiecasz mi to samo - oświadczył Mac z beznamietnym wyrazem twarzy.

Gdy Karen próbowała polemizować, obdarzył ją bezczelnym uśmiechem.

- Dobrze. Umowa stoi - powiedziała i zniknęła w łazience.

Kilka minut później wyszła w pełnym makijażu, ubrana tylko w jedwabną bieliznę - z pełną świadomością, że wygląda wspaniale. Jej biust nie był szczególnie imponujących rozmiarów, za to - w opinii wszystkich znajomych - nóg mogła jej pozazdrościć każda modelka.

- Czy wiesz, gdzie jest... - zaczął Mac, odwracając się w jej stronę.

Karen poczuła wielką, wprost nieopisaną satysfakcję, gdy zobaczyła, że na jej widok krew odpływa mu z twarzy.

- Czy wiem, gdzie jest co? - spytała słodkim tonem.

Stał jak skamieniały, z jedną ręką wyciągniętą przed siebie, a drugą zaciśniętą na spince do mankietu, którą właśnie zamierzał zapiąć.

- Mam ci pomóc? - spytała, podchodząc do niego energicznym krokiem.

Wciąż nie mógł wydusić z siebie słowa.

Karen sprawnie włożyła najpierw jedną, a następnie drugą spinkę w oba mankiety, po czym posłała Macowi uroczy uśmiech.

– Czy jestem ci jeszcze potrzebna?

Ponieważ wciąż milczał, uśmiechnęła się znowu i odwróciła do niego plecami. Dobrze wiedziała, że od tyłu wygląda również wyjątkowo atrakcyjnie, za co w myślach błogosławiła swoją elektryczną bieżnię.

O niczym więcej nie zdołała jednak pomyśleć, bo Mac chwycił ją za rękę i gwałtownie przyciągnął do siebie, a potem przycisnął usta do jej warg. Karen zdziwiła się, jak mogła zapomnieć, że pocałunki są tak rozkoszne.

Całował ją długo i namiętnie, przyciągając coraz mocniej do siebie i wodząc dłońmi po jej ciele.

Gdyby nie głośnie pukanie i okrzyk zza drzwi: „Gotowi wyruszyć do kościoła?“, Karen nie była pewna, jakby się to skończyło. Choć niechętnie, odepchnęła lekko Maca. Z trudem łapała oddech, w uszach słyszała dudnienie własnego serca.

– Musimy się ubierać – wykrztusiła.

Drżącymi rękami chwyciła suknię i próbowała włożyć ją przez głowę, nie burząc przy tym misternej fryzury. W końcu Mac pomógł jej to zrobić i zapiał suwak na plecach, a potem, w naturalnym odruchu, Karen podała mu marynarkę od smokingu.

Mieli już wychodzić z pokoju, gdy Taggart zatrzymał się z ręką na kłamce.

– Niewiele brakowało, a zapomniałbym ci wręczyć prezent przewidziany dla druhny.

Z kieszeni marynarki wyjął podwójny perłowy naszyjnik i jeden kolczyk z wiszącą perłą.

– Jakie piękne! – zachwyciła się Karen. – Wyglądają jak prawdziwe!

– Rzeczywiście – zgodził się, wyciągając z kieszeni drugi kolczyk. Karen zaczęła wkładać je w uszy, a tymczasem Mac zapiał jej na szyi kolia.

– I jak? – zapytała przejęta.

– Nikt nawet nie spojrzy na pannę młodą.

Wiedziała, że to oklepany frazes, ale sposób, w jaki Taggart wypowiedział ten komplement, sprawił, że poczuła się jak królowa.

Ceremonia ślubna była urocza i wzruszająca. Pomimo chaosu poprzedzającego wyjazd do kościoła wszystko przebiegło bardzo gładko, a na przyjęciu szampan lał się strumieniami i wszędzie wo-

kół rozlegały się śmiechy. Mac zniknął z grupą znajomych, których nie widział od lat, ale stosunkowo szybko powrócił.

– Umiesz tańczyć? – zapytał.

Karen spojrzała nań wymownie.

– Czy nie było tego w raporcie na mój temat? A może twój szpiedzy zapomnieli o tak istotnej kwestii, jak taniec?

Ze śmiechem wyciągnął ją z krzesła i poprowadził na parkiet. Stwierdzenie, że wspaniale razem tańczyli, byłoby zdecydowanym niedomówieniem.

W pewnym momencie tuż przy nich na parkiecie pojawił się Steve, trzymający w ramionach swoją piękną nowo poślubioną żonę, Catherine.

– Jej nie wolno ci wypuścić z rąk – rzucił w stronę Taggerta.

Ten uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze wiesz, że żadna kobieta nie jest w stanie długo ze mną wytrzymać.

Kiedy roześmiany Steve się oddalił, Karen ze ściągniętymi brwiami spojrzała Macowi w oczy.

– Czemu nie powiesz im prawdy? Wszyscy sądzą, że twoje związki rozpadają się przez ciebie.

Przyciągnął ją bliżej do siebie.

– Proszę się mieć na baczności, pani Lawrence. Słuchając tych słów, można odnieść wrażenie, że zaczyna mnie pani lubić.

– A tam. Jedyne, czego od ciebie chcę, to...

– Dziecko – wtrącił cicho. – Chcesz urodzić moje dziecko.

– Tylko dlatego, że jesteś...

– Jaki? Niezwykle inteligentny? W porównaniu z innymi mężczyznami niczym księżę z bajki?

– Ty jesteś takim księciem *à rebours*. Pocałunek kobiety przemienia cię w żabę.

– Po twoim pierwszym pocałunku nie doszło do podobnej metamorfozy. Chcesz spróbować jeszcze raz?

Przez chwilę patrzył na nią w taki sposób, jakby miał zamiar natychmiast ją pocałować. Nie zrobił tego jednak i z przerażeniem zdała sobie sprawę, że musiał dostrzec na jej twarzy wyraz rozczarowania.

Kilka godzin później znowu znaleźli się razem w pokoju. Gdy Karen wyszła z łazienki w swojej skromnej, białej koszuli, Mac stał przy oknie, odwrócony plecami, i wpatrywał się w noc.

– Łazienka jest twoja – rzuciła pogodnie.

– Wychodzę – oznajmił stanowczym tonem.

- Dokąd?! - spytała ku własnemu przerażeniu, po czym szybko zakryła dłonią usta. Przecież w żadnym razie nie była to jej sprawa. Napięła wszystkie mięśnie twarzy i zmusiła się do uśmiechu.

- Oczywiście - poprawiła się, ziewając ostentacyjnie. - A więc do rana.

Mac chwycił ją za ramiona.

- Karen, to nie jest tak, jak sądzisz.

- Ja w ogóle nic nie sędzę. Masz pełne prawo robić wszystko, co ci się podoba.

Przyciągnął ją do siebie i przytulił z całej siły.

- Gdybym tu został, kochałbym się z tobą tej nocy. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Nie zdołałbym się powstrzymać.

Nie dając jej szansy na udzielenie odpowiedzi, zniknął za drzwiami.

- No jasne - mruknęła Karen pod nosem. - Od przyszłego tygodnia wracamy do dawnych ról i drobna przygoda z podrzędną sekretarką zostanie zepchnięta do strefy niepamięci. Lepiej więc nie robić czegoś, co mogłoby się skończyć procesem o odszkodowanie.

Położyła się, ale zasnęła dopiero po tym, gdy wylądowała swoją frustrację na grubym wałku rozdzielającym połowy łóżka.

O świcie spała głębokim snem, nie słyszała więc, jak Mac wrócił i położył się obok, wcześniej jednak pocałował ją czule w czoło.

## 4

W bożonarodzeniowy poranek Karen obudziły dzikie wrzaski. Przekonana, że dom stanął w płomieniach, odrzuciła kołdrę i chciała już się zerwać na równe nogi, zatrzymała ją jednak silna ręka Maca.

- To tylko dzieciaki - wymamrotał w poduszkę.

Kiedy krzyki jeszcze się nasiliły, odsunęła się od niego, ale pościągając ją z powrotem na łóżko. Przez noc rozdzielający oboje wałek przesunął się (albo został zepchnięty) i teraz znajdował się gdzieś na wysokości ich kolan.

Dłoń Maca wędrowała coraz wyżej, aż w końcu zanurzył palce w jej włosach. Wciąż trzymał twarz wciśniętą w poduszkę, nadal nie patrzył na Karen, ona jednak wyraźnie widziała jego ciemne włosy, czuła ciepło jego ciała. W pokoju panował półmrok, a hałasy dobiegające z holu wydawały się teraz bardzo odległe.

Ich twarze znalazły się w końcu na tym samym poziomie i Mac delikatnie pocałował ją w usta, a potem wyszeptał:

- Dzieci. Boże Narodzenie. Sama wiesz, co w takiej chwili wyprawiają.

- Jestem jedynaczką. Przed rozpakowaniem prezentów musiałam grzecznie zjeść śniadanie.

- Hmm - wymruczał jedynie w odpowiedzi i znów ją pocałował - delikatnie i ciepło.

Kiedy poczuła jego wargi na swoich ustach, odniosła wrażenie, że czas się cofnął - w tym momencie wspólne łóżko i ciepło męskiego ciała wydawały się tak bliskie i oczywiste! Jakże łatwo przyszło jej zarzucić mu ręce na szyję i oddać pocałunek ze szczerym entuzjazmem.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadła dwójka dzieci, wymachując nad głową zabawkami. Oszołomiona Karen oderwała usta od ust Maca i spojrzała na zabawki, którymi dzieci energicznie potrząsały w powietrzu. Dziewczynka miała w dłoni pudełko z lalką Barbie wyposażoną w garderobę godną najbardziej ekskluzywnej call girl, a chłopiec wywijał wagonikami jakiejś wyjątkowo skomplikowanej kolejki.

Mac nie przejął się tym rozgardiaszem i cały czas całował Karen, która z kolei usilnie próbowała wykazać gorliwe zainteresowanie nowymi zabawkami maluchów.

Zanim jednak zdążyła poczynić jakąś sensowną uwagę, do sypialni wbiegł kolejny chłopiec, ściskając w dłoni samolot. Zaaferowany prezentem, niechcący wpadł na dwójkę pozostałych dzieci i nagle zabawki pofrunęły w powietrze, po czym wszystko - lalka, kolejka i dzieciaki - wylądowały na głowie Maca.

Dziewczynka natychmiast zaczęła zawodzić, że Barbie na pewno zrobiła sobie coś złego, chłopcy natomiast rozpoczęli walkę na pięści, gdyż w bardziej ugodowy sposób nie byli w stanie ustalić, kto kogo popchnął. Karen zwlokła się w końcu z łóżka i zabrała do poszukiwania rozmaitych części zabawek, zanim jednak je znalazła i uspokoiła dzieci, minęło sporo czasu.

- Nie ruszaj się - przykazała Macowi, wyluskując poszczególne drobiazgi pomiędzy prześcieradeł. - Zdaje się, że w uchu masz maleńki czerwony but na wysokiej szpilce.

- Nie po raz pierwszy w życiu - mruknął zirytowany, że dzieciaki przeszkodziły im w takim momencie.

Posłała mu uspokajające spojrzenie, po czym zagarnęła dzieci i wypchnęła je za drzwi.

Gdy już zostali sami, Mac założył ręce za głowę i przyglądał się Karen zbierającej po pokoju swoje ubranie.

- Nasze dzieci będą miały o wiele lepsze maniery - oznajmił.

Karen, pochłonięta szukaniem paska, rzuciła odruchowo:

- Mam nadzieję, że nasze dzieci będą równie szczęśliwe i zachwycone swoimi prezentami, jak te urwisy... - Urwała gwałtownie i poczerwieniała na twarzy. Spojrzała spod oka na Maca, i widząc jego wyszczerzone w uśmiechu zęby, ruszyła w stronę łazienki.

Wyskoczył z łóżka i pochwycił ją, zanim zdążyła zamknąć za sobą drzwi.

- No już, jedynaczko, wychodzimy. Inaczej stracisz najlepszą część zabawy.

- Przecież nie mogę pokazać się na dole w koszuli nocnej i szlafroku!

- Wszyscy będą tak właśnie ubrani - zapewnił Mac, ciągnąc ją za sobą i w przelocie chwytając t-shirt z krzesła.

Okazało się, że miał rację. Na dole, wokół choinki, panował nieopisany chaos: wszędzie walały się opakowania od prezentów, a wokół biegały dzieci. Pośród tego bałaganu rozsiedli się dorośli, wymieniając podarunki i zaśmiewając się na całe gardło - starali się, w miarę możliwości, ignorować swoje pociechy.

- O, nasze papużki nierozłączki! - wykrzyknął ktoś na widok Karen i Maca. - Chodźcie tu szybko i zobaczcie, co przyniósł wam Mikołaj.

- Sądząc po wyrazie ich twarzy, najlepszy prezent dostali już tego ranka! - wykrzyknął ktoś inny. Słyszając te słowa, Karen natychmiast puściła rękę Taggerta, którą do tej pory trzymała w mocnym uścisku.

Chwilę później siedziała już na podłodze obok wielkiego parowozu ozdobionego czerwoną kokardą. Cieszyła się, że jeszcze nikt nie otworzył prezentów, które kupili wraz z Makiem - dzięki temu będzie mogła zobaczyć, jak jego przyjaciele w pierwszym odruchu zareagują na te upominki. Bardzo zdumiała się natomiast, gdy w jej stronę zaczęły spływać rozmaitej wielkości paczki. Każda z nich była opatrzona bilecikiem wyjaśniającym, od kogo pochodzi dany prezent, kiedy jednak Karen zaczęła dziękować ofiarodawcom, reagowali zdziwieniem, po czym natychmiast zerkali w stronę Maca, który z niewinną miną rozpakowywał własne prezenty.

Karen błyskawicznie zorientowała się w sytuacji.

- Nie marnowałeś czasu, gdy siedziałam u fryzjera, co? - zapytała cicho, żeby nikt poza nią nie usłyszał.

Nie miała żadnych wątpliwości, że to on kupił dla niej te wszystkie rzeczy, i tylko starał się sprawić wrażenie, iż pochodziły od jego przyjaciół.

Mac nawet nie zwracał sobie głowy wyjaśnieniami - uśmiechnął się jedynie i spojrzał na nią spod oka.

- Zadowolona z prezentów?

Wokół niej leżało mnóstwo pięknych rzeczy: kaszmirowy sweter, pozytywka, złote kolczyki, trzy pary luźnych, wełnianych skarpet, srebrna ramka do zdjęć...

- A co dostałaś ode mnie? - zainteresował się w pewnym momencie Steve. Oboje z Catherine postanowili o jeden dzień przesunąć wyjazd w podróż poślubną, żeby spędzić święta z rodziną i przyjaciółmi.

- Poczekaj, muszę sprawdzić - powiedziała Karen ze śmiechem.

- O ile się nie mylę, czerwone, wyjątkowo skąpe bikini.

- Co takiego? - wykrzyknął Mac i zarumienił się gwałtownie, wzbudzając ogólną wesołość. - W porządku - rzucił chwilę później, władczo obejmując Karen.

Przysiadła się do niej jedna z kuzynek Steve'a i obrzuciła ją pełnym zadumy spojrzeniem.

- Wiesz, poznałam wszystkie narzeczone Maca i teraz z czystym sumieniem mogę mu powiedzieć, że żadna z nich mi się nie podobała. Ale ty, Karen, jesteś zupełnie inna. Ciebie od razu polubiłam. Ty pierwsza patrzysz na Maca ze szczerą miłością w oczach.

- Zapomniałam włożyć kontaktówki - odrzekła Karen. - A poza tym...

Nie zdołała dokończyć, bo zagłuszyły ją głośnie protesty. Zaczzerwieniona, spuściła oczy, Mac zaś jeszcze silniej objął ją ramieniem.

- To kiedy ślub? - zapytał ktoś.

- Gdy tylko zdołam ją namówić - odparł bez wahania Mac. - Ale jak na razie nawet nie chce nosić mojego pierścionka.

- Bo może zbyt szybko się wyrobił od ciągłego wsuwania i zsuwania z rozmaitych palców! - wykrzyknął Steve, wzbudzając powszechną wesołość.

W tym momencie pojawiła się matka Steve'a, Rita.

- Natychmiast przestańcie. Przez was Karen czuje się zakłopotana. Poza tym najwyższy czas, żeby ktoś wreszcie pomógł mi w kuchni.

Ku zdumieniu Karen jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w pokoju natychmiast się przeczodziło. Nie upłynęło pół minuty, a w za-

sięgu wzroku nie było ani jednego przedstawiciela męskiego rodu, czy to młodego, czy starego. W wielkim salonie zostały jedynie dziewczynki i kobiety oraz góry prezentów i podartego, ozdobnego papieru.

– Ta sztuczka działa za każdym razem – oznajmiła z radosnym uśmiechem matka Steve'a. – No, dobrze, moje panie. Teraz możemy w spokoju poplotkować.

Rozeszły się godzinę później, żeby się wreszcie ubrać. Karen wróciła do sypialni, którą dzieliła z Makiem i rzuciła swoje prezenty na łóżko. Teraz już nie miała najmniejszych wątpliwości, że wszystko, co otrzymała od chwili przyjazdu tutaj, pochodziło od Taggerta. W trakcie babskich pogaduszek z ciekawości zapytała, co inne drużyny dostały na pamiątkę ślubu i wówczas dowiedziała się, że upominki zostały wręczone tydzień wcześniej. Czyżby nie dotarł do niej prezent?

Z dalszej indagacji wynikało, że naszyjnik i kolczyki nie były upominkiem od panny młodej.

– Masz na myśli te perły, które miałaś na sobie wczorajszego wieczoru? – odezwała się jedna z kobiet. – Jeżeli dostałaś je od Maca, to śmiało możesz przyjąć, że są prawdziwe.

Karen niemal zatkało z wrażenia.

– Rozumiem też, że inne drużyny nie otrzymały kompletu jedwabnej bielizny – powiedziała bardziej do siebie niż do siedzących obok kobiet, one jednak usłyszały tę uwagę i wybuchnęły gromkim śmiechem.

Teraz, przyglądając się wszystkim podarunkom, pomyślała, że każdy z nich bez namysłu oddałaby za dodatkową godzinę w jego towarzystwie. Jutro wrócą do Denver i rozstaną się na dobre. Bo w gruncie rzeczy ich biurka dzielił milion lat świetlnych.

Odwróciła się i spostrzegła, że na poduszce leży koperta. Odsunęła zakrywający ją szal i ujrzała wypisane na wierzchu słowa: „Najlepsze życzenia bożonarodzeniowe, Karen”.

W środku znajdował się kontrakt spisany przez Maca i poświadczony przez Steve'a jako świadka. Karen przebiegła oczami krótką treść umowy. Na mocy tego dokumentu mogła swobodnie rozporządzać sklepem Lawsona. Mac miał dostarczyć kapitał, a ona wnosi wiedzę i doświadczenie. Karen będzie mogła prowadzić tam dowolną działalność w sposób, jaki uzna za najbardziej odpowiedni, a po dwóch latach zacznie płacić Macowi pięć procent od zysku.

– To zbyt wielka hojność – powiedziała w głos. – Nie chciałam przecież...

Urwała, gdy zobaczyła, że w kopercie oprócz kontraktu znajduje się jeszcze list.

*Najdroższa Karen,*

*Wiem, że w pierwszym odruchu będziesz miała ochotę cisnąć mi ten dokument w twarz, ale bardzo Cię proszę, żebyś dobrze wszystko przemyślała. Jestem biznesmenem, więc interesują mnie zyski. Wiem dobrze, że masz odpowiednią wiedzę i doświadczenie, by przekształcić sklep Lawsona w dochodowy interes. Nie oferuję Ci tego kontraktu dlatego, że jesteś piękna, dowcipna, i że uwielbiam Twoje towarzystwo. Robię to, bo zostałem do tego zmuszony przez moje nieustannie ciężarne bratowe. Zapowiedziały, że mogą nie wracać do domu, jeżeli w tym starym sklepie zdecyduję się sprzedawać skóry zamiast pieluch.*

*Proszę, nie zawiedz mnie.*

*Twój przyszły partner w interesach*

*McAllister J. Taggert*

Karen była oszołomiona, czuła niemal euforię. Ale to nie kontrakt wprowił ją w taki stan, tylko słowa: „Jesteś piękna, dowcipna, i uwielbiam twoje towarzystwo”.

Uspokój się natychmiast! – skarciła się w duchu. Ten mężczyzna nie jest dla ciebie. Może mieć każdą kobietę na świecie a ty... ty...

Weszła do łazienki i spojrzała w lustro.

– A ty, beznadziejna idiotko, naprawdę się w nim zakochałaś! – dokończyła głośno, po czym odwróciła się i zdecydowanym ruchem odkręciła wodę pod prysznicem. Masz to traktować wyłącznie w kategoriach biznesowych! – przykazała sobie w duchu.

To jednak nie było proste.

Zeszła na dół w dżinsach i czerwonym kaszmirowym bliźniaku od Maca. Włożyła też perły i wprost nie mogła się powstrzymać, by co chwilę ich nie dotykać. Oczywiście, będzie musiała zwrócić mu naszyjnik. Był zdecydowanie zbyt kosztowny, żeby go zatrzymać.

W całym domu panował ożywiony ruch. Niektórzy goście porządkowali salon, inni – głównie mężczyźni – znowu grali przed domem w piłkę, część kobiet zaś – łącznie z Karen – poszła do kuchni, by pomóc Ricie w przygotowaniu świątecznego obiadu.

Karen kroila i szatkowała, a przy okazji wysłuchiwała pikantnych historyjek na temat rodziny Steve'a i okazjonalnie Maca – Rita bowiem była najlepszą przyjaciółką jego matki. Tuż pod kuchennym oknem Mac – ubrany w spodnie od dresu i bluzę – grał w futbol. Ile razy zdobył lub stracił punkty, machał ręką do Karen, a ona radośnie mu odmachiwała. Nigdy nie spędzała świąt pośród

tak licznej rodziny: zgiełk i rozgardiasz, dokazujące wokół dzieci i roześmiani ludzie śpiewający kolędy w salonie – wszystko to było dla niej nowym, niezwykłym doznaniem.

Zatopiona w myślach, Karen aż podskoczyła, gdy zza pleców dobiegł ją głos Rity.

– Podoba ci się to, co się tu wyprawia, prawda? Mam wrażenie, że dobrze się czujesz wśród rozwrzeszczanych dzieci i z przyjemnością wypychasz cebule w to nieszczęsne, zamordowane stworzenie.

– Tak – przyznała otwarcie Karen.

– Mac jest bardzo dobrym człowiekiem – oznajmiła niespodziewanie Rita.

W pierwszej chwili Karen nie zareagowała. Może był dobrym człowiekiem, a może nie. Teraz była pewna tylko tego, że nie należał do niej.

– Rito, czy wiesz, jak to było z Elaine? – spytała po chwili.

Ponieważ niemal wszystko było już zrobione, zostały same w kuchni. Rita obrzuciła Karen uważnym spojrzeniem, jakby rozważając w duchu, czy wyznać jej prawdę.

– Przyrzekłam, że dochowam tajemnicę – odrzekła w końcu.

Karen aż wstrzymała oddech z wrażenia. Jeżeli matka Steve'a przyznała się, że zna ów sekret, to znaczy, że jedna batalia jest już wygrana. Teraz trzeba było tylko delikatnie przycisnąć Ritę. Ale Karen się zawahała. Z jednej strony bardzo chciała się dowiedzieć, co się wydarzyło, z drugiej – bała się tego, co mogła usłyszeć. Cemu Elaine porzuciła go w dniu ślubu? Co on jej musiał zrobić?

– Bardzo mi zależy, żeby poznać tę historię – powiedziała w końcu pełnym emocji głosem.

Rita z uwagą spojrzała jej w oczy.

– Ty go naprawdę kochasz.

– Tak – odrzekła Karen krótko, bo bała się powiedzieć cokolwiek więcej.

– Elaine była nieprzytomnie zakochana w pewnym biednym artyście. Dla nas wszystkich nie ulegało wątpliwości, że artystę o wiele bardziej interesował jej fundusz powierniczy niż ona sama, ale miłość jest ślepa i Elaine walczyła o ukochanego niczym lwica. Jej ojciec wysłał temu „twórcy”, (a tak na marginesie – nikt nigdy nie oglądał żadnego jego dzieła), list informujący, że jeśli Elaine za niego wyjdzie, straci prawo do pieniędzy. Dołączył też czek na dwadzieścia tysięcy dolarów, wraz z krótkim komentarzem, że jeżeli ów młody człowiek porzuci jego córkę, zostanie uznane to za dużą uprzejmość. Gdy Elaine po powrocie do domu nie zastała swojego

artysty, całą winę oczywiście przypisała ojcu. Powiedziała, że jeśli jego największą ambicją jest to, by poślubiła bogacza, dostosuje się do jego życzeń.

Rita urwała na moment i znowu spojrzała na Karen, zagryzając mocno usta.

– No i zaczęła uganiać się za Makiem, najstarszym z Taggertów, który w owym czasie był do wzięcia. Elaine jest piękna, utalentowana i pewna siebie, nie miał przy niej żadnych szans. Ale tuż przed ślubem powrócił wymarzony artysta i Mac po przyjeździe z pracy zastał ich razem w łóżku.

Rita uczyniła efektowną pauzę, by Karen dobrze przyswoiła sobie tę informację.

– O ślubie nie mogło być mowy, ale Mac się zgodził, by wszyscy wokół sądzili, że to Elaine go rzuciła. Niemniej od tamtej pory myśl o małżeństwie śmiertelnie go przeraża. Bardzo chce założyć rodzinę, ale – w moim przekonaniu – z rozmysłem wybiera kobiety, którym zależy jedynie na jego pieniądzech, a potem testuje je za pomocą jakiejś idiotycznej umowy przedmałżeńskiej. Kiedy wybranki nie zgadzają się jej podpisać, utwierdza się w przekonaniu, że kobiety są zainteresowane tylko jego fortuną. Dobrze, że wreszcie pozwolił, by ta rana się zabiłiła. Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że w końcu ożeni się z kimś, kto darzy go szczerym uczuciem.

Karen nie odważyła się oderwać oczu od selera, który właśnie kroił w kostkę.

– Powiedziałam ci to wszystko głównie dlatego, że Mac uważa umowę z Elaine za sprawę honoru, więc zapewne nie ujawni ci prawdy. A poza nimi istnieją jedynie dwie osoby, które wiedzą, co rzeczywiście się wówczas stało – jego matka i ja.

– Czy zdecydowałaś się zdradzić mi ten sekret dlatego, że kocham Maca?

– I dlatego, że on kocha ciebie.

Karen uśmiechnęła się ironicznie.

– Nie. Wcale mnie nie kocha. Wynajął mnie, żebym dotrzymała mu towarzystwa na tym ślubie i żebym... – Urwała, bowiem na twarzy Rity pojawił się bardzo szczególny wyraz.

– Zejdz wreszcie na ziemię, Karen. Mac do niczego nie musi wynajmować żadnej kobiety. Całe ich stado tylko czekają, żeby skinął palcem. Jego matka wciąż utyskuje, że wszystkie podwładne wychodzą ze skóry, żeby go usidlić. Podobno szefowe działów w firmie mają na jego punkcie takiego bzika, że jeśli zleci im cokolwiek do

zrobienia, uważają to za dowód miłości z jego strony. Wielokrotnie mówiła mu, aby wreszcie pozwałniał te wszystkie kobiety, ale Mac ma zbyt miękkie serce, by to zrobić. Płaci im więc skandalicznie wysokie pensje, po czym sam wykonuje całą pracę.

- A one wciąż narzekają, że nie mają co robić - wtrąciła cicho Karen.

- Zapewne. Ale Mac zawsze bierze na siebie winę, jeżeli w ten sposób może ochronić kobietę przed złą sławą. Jego matka chciała rozgłosić wszem i wobec, jak miały się sprawy z Elaine, a Mac kategorycznie jej tego zabronił. Pod tym względem jest z zupełnie innej epoki.

- Owszem - przyznała Karen. - Pewnie właśnie w tym rzecz.

- A gdy już o wilku mowa - rzuciła Rita, spoglądając przez okno. - Zdaje się, że Elaine właśnie zajechała przed dom. Karen! Nie rób takiej miny! Idź tam i ...

Karen też zerknęła w okno. Przyjazd Elaine położył kres grze w piłkę, ponieważ wszyscy mężczyźni, jak jeden mąż, pobiegli w stronę limuzyny, by pomóc pięknej i wytwornej przyjaciółce wysiąść z wozu. Na czele zaś biegł nie kto inny, tylko McAllister Taggart.

- Przepraszam cię, Rito, ale muszę... właśnie sobie przypomniałam, że powinnam...

Ponieważ nic sensownego nie przyszło jej do głowy, odwróciła się szybko i wypadła z kuchni, a potem wbiegła na górę i zatrzasnęła drzwi do swojego pokoju.

## 5

Pół godziny później Karen uznała, że dostatecznie długo przemawiała sobie do rozumu i teraz może już spotkać się z Elaine, nie zatapiając przy okazji noża w jej zimnym sercu. Pech chciał, że ledwo otworzyła drzwi, ujrzała ją w holu w towarzystwie Steve'a i Maca.

Z bliska Elaine wydawała się jeszcze piękniejsza. Była wysoka, miała jasne włosy i poruszała się z taką gracją, że Karen natychmiast poczuła się jak ostatnia łamaga. Elaine była dokładnie taką kobietą, jaką wedle wyobrażeń Karen powinien poślubić Mac. Bez wątplenia jej ojciec jest co najmniej ambasadorem i zapewne sama Elaine skończyła jakiś bardzo wyrafinowany i bezużyteczny kierunek studiów w rodzaju chińskiej filozofii.

Gdy tylko Karen na nią spojrzała, miała wrażenie, że sama wygląda jak strach na wróble. Nic dziwnego, że Mac nieprzytomnie zakochał się w tej kobiecie.

Elaine zatrzymała się u szczytu schodów i posłała mu spojrzenie, pod którym stopiłaby się stal, on zaś patrzył na nią cielecymi oczami. Wciąż ją kocha, pomyślała Karen i wbrew samej sobie poczuła złość.

Steve przedstawił Karen jako narzeczoną Maca, po czym z piłką pod pachą zbiegł po schodach, zostawiając ich samych.

- Wciąż próbujesz namówić jakąś kobietę, żeby za ciebie wyszła? - spytała miękkim głosem Elaine, spoglądając Macowi głęboko w oczy, jakby Karen w ogóle nie istniała.

- Wciąż płacisz mężczyznom, by zechcieli się z tobą ożenić, Elaine? - wypaliła bez namysłu Karen.

Zanim Elaine się odwróciła i pobiegła w dół po schodach, Karen z wielką satysfakcją zdołała jeszcze dostrzec przerażony wyraz jej twarzy. Najwyraźniej była pewna, że jej sekret nigdy nie wyjdzie na jaw i zawsze będzie mogła bezkarnie dogryzać Macowi.

Karen jednak zupełnie nie była przygotowana na reakcję Taggerta, który mocno chwycił ją za ramię i niemal siłą wciągnął do sypialni

- Bardzo mi się to nie podoba! - oznajmił gniewnie, przysuwając twarz do jej twarzy. - To, co zaszło między mną i Elaine, jest naszą i tylko naszą sprawą. W żadnym razie nie pozwolę, by ktokolwiek z niej szydził!

Karen wyprostowała się sztywno. Gdyby tego nie zrobiła, zapewne rzuciłaby się z płaczem na łóżko. Ale w zasadzie czemu miałoby ją obchodzić, że McAllister Taggart był zakochany w kobiecie, która publicznie się z niego naigrawała?

- Tak jest, panie Taggart - odparła chłodno i odwróciła się w stronę drzwi.

Mac jednak chwycił ją ponownie, pchnął na ścianę i zaczął namiętnie całować. Z początku duma kazała jej z nim walczyć, szybko jednak Karen zaczęła przyciągać go mocniej do siebie.

- Nienawidzę cię! - zdołała wydusić z siebie, gdy całował jej szyję i wodził rękami po całym ciele.

- Tak, wiem. Nienawidzisz mnie tak bardzo, jak ja ciebie.

Później Karen nie umiała sobie wytłumaczyć jak do tego doszło, że w jednej chwili stali całkowicie i ubrani pod ścianą, a w następnej, nadzy, leżeli na łóżku. Karen od ponad dwóch lat nie kochała się z mężczyzną, a udało jej się tak długo zachować abstynencję,



ponieważ tłumila swoje seksualne potrzeby. Teraz gniew i pieszczoty Maca podziałały wyzwalająco i ogarnęło ją niezwykle silne pożądanie.

Mac ani na krok nie ustępował jej w żarliwości. Wszedł w nią gwałtownie i przycisnął usta do jej ust, by stłumić krzyk.

Nie trwało to długo, choć w ciągu tych kilku minut z trzaskiem uderzyła o podłogę lampa, Karen spadła z łóżka, a Mac uniósł ją w taki sposób, że stopy wciąż miała na podłodze, a plecami leżała na prześcieradłach.

Oplotła go nogami i przyciągnęła do siebie z całej siły. Serce jej waliło, oddech się rwał.

Musiała minąć kilka minut, zanim znowu mogła myśleć logicznie i wówczas załapała ją fala wstydu. Co on sobie teraz o niej pomyśli? Biedna, niewykształcona sekretarka tracąca głowę dla wspaniałego szefa?

- Proszę, pozwól mi wstać - wyszeptała.

Mac uniósł się z wolna i spojrzał jej w oczy, a kiedy się odwróciła, chwycił ją za podbródek i zmusił, by nie umykała przed nim wzrokiem.

- O co chodzi? - zapytał rozbawionym tonem. - Chyba moja namiętna dziewczyna nie czuje się zażenowana?

- Chciałabym wstać - powtórzyła Karen z zamkniętymi oczami.

Nadal nie wypuszczał jej z objęć. Wciągnął ją na łóżko, przytulił mocno do siebie i okrył kołdrą.

- A teraz powiedz mi, co się stało.

Karen nie mogła zebrać myśli, bo z bliżej nieokreślonego powodu to przytulanie nago wydało jej się o wiele intymniejszym aktem niż to, co przed chwilą zrobili.

- Ty... ja... my... - zaczęła dukać, nie zdołała jednak złożyć sensownego zdania.

- Po prostu się kochaliśmy - oznajmił miękko, całując ją w czubek głowy. - Zrobiliśmy coś, na co już od dawna miałem wielką ochotę.

- Jeszcze kilka dni temu w ogóle nie wiedziałeś, że istnieję.

- Prawda. Ale tę stratę czasu nadrabiam teraz intensywnością uczuć.

Próbowała go odepchnąć, trzymał ją jednak w bardzo mocnym uścisku.

- Nie puszcze cię, póki mi nie powiesz, co się stało.

- Co się stało?! Co się stało?! Jestem jedną z twoich podrzędnych sekretarek, w hierarchii zaledwie oczko wyżej od portiera, ty zaś jesteś wielkim szefem, a poza tym... poza tym...

- A poza tym co?

- Wciąż jeszcze jesteś zakochany w Elaine! - rzuciła mu w twarz.

Ostatecznie zrobiła już z siebie taką idiotkę, że nic więcej nie mogło jej zaszkodzić.

Ku jej irytacji, Mac jeszcze mocniej przytulił ją do siebie, śmiejąc się w głos.

- Au! A to za co? - wykrzyknął, gdy go uszczyपnęła.

Tym razem już prawie udało jej się wymknąć - chwycił ją w ostatniej chwili.

- Nie jestem jednym z twoich kociaków. Nie interesują mnie twoje pieniądze. Prawdę mówiąc, w ogóle niczego od ciebie nie chcę, nie chcę też żadnych wspólnych interesów. I nie chcę oglądać cię kiedykolwiek...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

- ...więcej - wyszeptała, kończąc zdanie.

- Z przyjemnością - oznajmił, udając, że źle ją rozumiał.

Ponownie zaczął ją pieścić i Karen znów poczuła wzbierające podniecenie, odepchnęła jednak lekko Maca. Teraz już nie próbowała uciec, tylko spojrzała mu w oczy i powiedziała:

- Nie.

- W porządku - odrzekł, wypuszczając ją z objęć. - A teraz spokojnie wytłumacz mi, co się stało. Tylko nie uciekaj, dobrze?

Odrzuciła się na plecy i odsunęła od niego, tak aby ich ciała się nie stykały.

- Nie chciałam, żeby doszło do czegoś podobnego. Ja jedynie... - Urwała, bo w tym momencie przypomniała sobie, że według jej obliczeń właśnie na dziś przypadła jej najbardziej płodny dzień. Po tym, co przed momentem zrobili, może już w tej chwili była w ciąży.

Jakby odgadując jej myśli, Mac chwycił i ucałował jej dłoń. Kiedy drobnymi pocałunkami zaczął obsypywać jej palce, Karen szybko cofnęła rękę.

Niezrażony tym, ponownie chwycił ją w ramiona.

- Nie kocham Elaine.

- Ja odnoszę zupełnie inne wrażenie. Bronisz jej jak lew!

- Choćbym nie wiem jak źle życzył Elaine, nie mogło jej spotkać nic gorszego niż to, co ma teraz. Jej mąż ożenił się z nią tylko dla pieniędzy. Wiem, jak to jest, więc czuję wobec niej litość. A jeśli wygłoszenie kilku uszczypliwych uwag pod moim adresem może jej poprawić humor, nie mam zamiaru jej w tym przeszkadzać. Na szczęście, nie ja ją poślubiłem. I nie ona jest matką moich dzieci.

- A masz ich dużo? - spytała lekkim, konwersacyjnym tonem.

Teraz najbardziej na świecie chciała sprawiać wrażenie chłodnej i zdystansowanej. Ostatecznie w jej wieku i w dzisiejszych czasach romans z wolnym, przystojnym mężczyzną jest czymś całkiem naturalnym. Musiała być prymitywną idiotką, jeśli sądziła, że ludzie, którzy idą razem do łóżka, powinni natychmiast się pobierać.

- Może właśnie dziś zrobiliśmy moje pierwsze - powiedział cicho i przytulił ją mocniej, gdy chciała się odsunąć.

- To wcale nie jest zabawne. Chciałam, żebyś został jedynie dawcą, a nie... nie...

- Kochankiem? Karen, posłuchaj mnie uważnie. To, do czego między nami doszło, nie jest pomyłką. Nigdy przedtem nie kochałem się z kobietą bez zabezpieczenia. - Uniósł jej twarz i spojrzał w oczy. - Kocham cię, Karen. I jeśli mi tylko na to pozwolisz, postaram się być dla ciebie dobrym mężem.

- Tak jak już się starałeś nim być dla połowy wolnego świata - rzuciła bez zastanowienia, a potem z przerażeniem zobaczyła w oczach Maca ból.

Odrzucił koldrę i zaczął się podnosić.

- Wybacz mi - powiedziała, tuląc się do jego pleców. - Przepraszam. Ja naprawdę tak nie myślę. Wcale nie musisz się ze mną żenić, czy choćby proponować mi małżeństwa. Wiem, że jesteś bardzo szlachetny i wyjątkowo szarmancki...

Odwrócił się ku niej z uśmiechem.

- Czy naprawdę tak o mnie myślisz? Sądzisz, że każdej kobiecie, z którą idę do łóżka, od razu proponuję małżeństwo?

Wyraz jej twarzy zdradził mu natychmiast, że tak właśnie uważała. Mac był już teraz szczerze ubawiony.

- Kochanie - odezwał się po chwili, zatykając jej za ucho niesforne pasmo włosów. - Nie wiem, co doprowadziło cię do wniosku, że jestem niemal święty, ale zapewniam cię, że to nieprawda. Opinia, jaką wygłosiłaś na mój temat przy naszym pierwszym spotkaniu, była wyjątkowo trafna. Chcesz usłyszeć prawdę?

Karen w milczeniu pokiwała głową.

- Tak naprawdę nigdy nie byłem zakochany w Elaine. Teraz zdaję sobie z tego sprawę, ale wówczas czułem się mile polechtany, że tak piękna kobieta chce, abym się za nią uganiał.

- Czy to przypadkiem nie ona uganiała się za tobą? - spytała Karen, po czym natychmiast ugryzła się w język.

Ale Mac tylko się uśmiechnął.

- Nie zapominaj, że znamy się z Elaine od dziecka. Wszyscy

próbowaliśmy ją poderwać, ona jednak wydawała się nieosiągalna. Była taka piękna i w wieku czternastu lat już doskonale zbudowana. Zakładaliśmy się, z kim Elaine zgodzi się umówić na randkę, lecz żadnemu z nas nigdy nie udało się ta sztuka. W wieczór balu maturalnego zakuwała do końcowych egzaminów i zapewne dała kosza wszystkim chłopakom w szkole.

- A więc zapragnąłeś tego, co wydawało ci się nie do zdobycia? - rzuciła Karen sarkastycznym tonem.

- Pewnie. Czyż to nie naturalne dla większości ludzi?

Była zbyt zainteresowana tą historią, by rozważać filozoficzne prawdy.

- I w końcu to ty ją dostałeś.

- W pewnym sensie. Jakies cztery lata temu przyszła do mnie do firmy, bo chciała, abym jej pomógł w pewnej inwestycji a ja...

- Straciłeś dla niej głowę i poprosiłeś, żeby za ciebie wyszła, głównie po to, by pokazać innym facetom, kto jest prawdziwym zwycięzcą w wyścigu.

- Mniej więcej.

Karen nie mogła już dłużej zachować powagi.

- Więc w pewnym sensie ten artysta stał się dla ciebie wybawieniem.

- Pewnego dnia będziesz mi musiała opowiedzieć, jak wyciągnęłaś tę informację od mojej matki czy też od kogoś innego, komu ona o tym powiedziała.

- Hm - mruknęła niezobowiązująco Karen. A po chwili spytała:

- A jak to było z tymi innymi kobietami, którym proponowałeś małżeństwo?

Mac przez chwilę patrzył z zadumą w przestrzeń.

- Wiesz, to dziwne, ale po tym, co stało się z Elaine, wiele kobiet było przeświadczonych, że na niczym w życiu tak mi nie zależy, jak na ślubie. Może sądziły, że chcę pokazać Elaine, z jaką łatwością można ją zastąpić.

- Czyli podstępnie cię osaczały - wtrąciła Karen uszczypliwie. - A ty oczywiście nie miałeś nic wspólnego z tymi pierścionkami i intercyzami.

- Mówię poważnie. Jeszcze kilka dni temu może bym powiedział, że kochałem Elaine i że kochałem te wszystkie piękne dziewczyny, z którymi byłem zaręczony. Ale teraz, kiedy poznałem ciebie, zrozumiałem, że to nie była miłość. Gdy jestem z tobą, nie muszę niczego udawać. Jesteś pierwszą kobietą, która spojrzała na mnie jak na mężczyznę, a nie na jednego z bogatych Taggertów czy

kogoś, kto ułatwi im karierę. – Pocałował ją w policzek. – Wiem, że to, co się stało, jest dość nieoczekiwane, i zdaję sobie sprawę, że musisz wiele rzeczy przemyśleć. Będę więc z największą przyjemnością cię adorował, chociaż lojalnie ostrzegam, że zrobię przy tym wszystko, żebyś zgodziła się wyjść za mnie.

W pierwszym odruchu Karen chciała zarzucić mu ręce na szyję i wykrzyknąć: „Wyjdę za ciebie. Tak! Choćby jutro!”, powstrzymała się jednak i odwróciła oczy, jakby nad czymś intensywnie się zastanawiała. W końcu spojrzała na niego z bardzo poważną miną.

– Czy jak mówiłeś o adorowaniu, miałeś na myśli kolacje przy świecach i bukiety róż?

– A co byś powiedziała na wycieczkę do Paryża, podróż po Nilu i wypad na narty w Góry Skaliste?

– Bo ja wiem?

– A może wolałabyś raczej, żebym kupił ci dodatkowe dwa budynki w dowolnie wybranych miastach na te twoje sklepy dla matek i wyposażył je w najnowocześniejszy system komputerowego zarządzania?

– Z automatyczną rejestracją przychodu i rozchodu towaru?

– Karen, kochanie, jeżeli zgodzisz się zostać moją żoną, podam ci kod do mojego prywatnego konta i będziesz mogła korzystać z niego do woli.

– Wiesz, jak adorować kobietę, co?

– Jasne – mruknął i przytulił ją mocniej do siebie. – Czy słyszałaś o tym, że jeśli się chce mieć bliźnięta, trzeba kochać się dwa razy tego samego dnia?

– Coś podobnego? A przecież wszyscy lekarze są przekonani, że ma to coś wspólnego z podziałem komórkowym.

– Nie. Im więcej miłości jednego dnia, tym więcej dzieci naraz.

Karen zarzuciła mu ręce na ramiona.

– A co byś powiedział na pięcioraczkę?

– Wiedziałem, że musiała istnieć jakaś ważna przyczyna, dla której się w tobie zakochałem – odparł Mac i przycisnął usta do jej warg.

## Epilog

– Karen! – dobiegł ją zza pleców kobiecego głosu.

Odwróciła się tak gwałtownie, że aż paczki wypadły jej z rąk. Była w centrum handlowym, wokół panował tłok, więc dopiero po

chwili zorientowała się, że stoi przed nią Rita, matka Steve'a, poznana w ten szczególny świąteczny weekend, który spędzili z Makiem w jej domu.

Ku obopólnej konsternacji, niespodziewanie wybuchnęła płaczem.

Rita po matczynemu objęła ją ramieniem i podprowadziła do kamiennej ławeczki stojącej tuż obok cicho szmerzącej fontanny, po czym wręczyła jej chusteczkę i spokojnie czekała, aż Karen się uspokoi.

– Bardzo przepraszam. Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje. Ostatnio z byle powodu zalewam się łzami. Naprawdę bardzo się cieszę, że cię widzę. Co u was wszystkich słychać? Jak się miewa Steve?

– Doskonale – odrzekła Rita z uśmiechem. – Wszyscy mają się doskonale. No więc, kiedy ma się urodzić dziecko?

– Czy to aż tak widoczne?

– Tylko dla kogoś, kto sam jest matką. A teraz może mi powiesz, co cię trapi. Czyżby jakieś nieporozumienia między tobą a Makiem? Przecież się pobieracie, prawda?

Karen wydmuchała nos.

– Tak. Za dwa miesiące. To będzie skromna, ale piękna uroczystość. Jesteś już na liście gości. – Spojrzała na przemoczoną chusteczkę, którą ścisnęła w dłoni. – U mnie w zasadzie wszystko w porządku. Wszystko. Tyle że...

– No już. Mnie przecież możesz powiedzieć.

– Nie jestem pewna, czy Mac naprawdę chce się ze mną ożenić – wyrzuciła z siebie. – Oszukałam go. Uwiodłam. Tak bardzo chciałam mieć dziecko, a on... – urwała gwałtownie, ponieważ Rita się zaśmiewała!

– Przepraszam cię bardzo – powiedziała chłodno Karen i zaczęła się podnosić. – Nie sądziłam, że moje problemy będą cię tak bawić.

Rita jednak chwyciła ją za ramię i pociągnęła z powrotem na ławkę.

– Wybacz, nie chciałam się z ciebie śmiać, ale rzecz w tym, że jeszcze nigdy w życiu nie widziałam, żeby jakiś mężczyzna tak zabiegał o kobietę, jak Mac o ciebie. Jakim cudem w ogóle przyszło ci do głowy, że on nie chce się z tobą ożenić?

– Nie wiesz wszystkiego, Rito. Gdybyś wiedziała, co między nami naprawdę zaszło, zrozumiałabyś, że nie chodzi o prawdziwe małżeństwo, tylko o swoisty układ. Wszystko to był mój pomysł...

- Karen, wybacz, ale to ty nie bardzo wiesz, o czym mówisz. Na ślubie miało być sześć drухen. To Mac zadzwonił do Steve'a w panice, mówiąc, że właśnie spotkał miłość swojego życia i musi spędzić z nią ten weekend. Dodatkowa drухna to był jego pomysł. Zapłacił potrójną cenę za ekspresowe uszycie sukni w twoim rozmiarze, a potem kupił smoking dla przyjaciela, aby tylko zgodził się zostać siódmym druhną.

Karen z niedowierzaniem wpatrywała się w Ritę.

- Miłość swojego życia? A mnie powiedział, tuż po tym, jak się spotkaliśmy - że ma problem ze znalezieniem kobiety, która zmieści się w sukni.

- Steve i Catherine mają mnóstwo znajomych i nie musieli prosić żadnej narzeczonej Maca, by została ich druhną. Szczególnie w sytuacji, gdy zmieniał je jak rękawiczki.

Karen potrząsnęła głową.

- Wciąż tego wszystkiego nie rozumiem. Jestem pewna, że przed tym wieczorem, kiedy odbywało się świąteczne przyjęcie, Mac nawet nie wiedział o moim istnieniu. Czemu miałby więc wymyślać podobną historię? Dlaczego zadał sobie tyle trudu?

- W rodzinie Taggertów jest takie powiedzenie: „Zeń się z tą, która bez trudu rozróżni bliźniaków”.

Mina Karen jasno wskazywała, że nie pojmuje, co Rita chciała przez to powiedzieć.

- W gabinecie Maca jest fotografia młodego człowieka trzymającego ryby na linie, tak?

Karen szybko wróciła pamięcią do tego wieczoru, gdy myszkowała w gabinecie szefa. Przypomniała sobie zdjęcie, które oglądała i upuściła, gdy Mac ją przestraszył.

- Tak rzeczywiście, przypominam sobie podobną fotografię. To chyba jeden z jego braci. Pamiętam, jak powiedziałam Macowi, że nigdy w życiu go nie spotkałam.

Rita uśmiechnęła się przebiegle.

- To fotografia bliźniaczego brata Maca. Są podobni do siebie jak dwie krople wody.

- W żadnym razie nie są do siebie podobni! Mac jest o wiele przystojniejszy! Jest... - Urwała, bo Rita znowu wybuchnęła śmiechem. - Więc on zmyślił tę historyjkę o brakującej druhnie?

- Od początku do końca. Powiedział Steve'owi, że zapłaci za całą uroczystość, jeśli tylko zgodzi się, byś uczestniczyła w ceremonii. Obiecał też, że jeśli umieści was w jednej sypialni, na całe pół roku odda mu do dyspozycji swoją cenną łódź motorową. Natomiast te

kolczyki, które Mac ci sprezentował, pochodziły z rodzinnego sejfu - należały do jego babki. Taki prezent daje się jedynie żonom. Nie dziewczynom, ale żonom. Wiem też skądinąd, że w czasie owego weekendu dwukrotnie dzwonił do domu i opowiadał rodzinie, jaka jesteś piękna, inteligentna i dowcipna. Oświadczył, że zrobi wszystko, by cię zdobyć.

Rita mocno uścisnęła dłoń Karen.

- Na pewno zauważyłaś, jaki był milczący w twoim towarzystwie. Tak bardzo się bał, że powie coś niewłaściwego, że wolał siedzieć cicho, co wszystkich nas bardzo śmieszyło. Wyznał Steve'owi, że zachowuje się wobec ciebie z dystansem, ponieważ dowiedział się od mężczyzn pracujących w firmie, że uciekasz przed każdym facetem, który wykaże choćby lekkie zainteresowanie twoją osobą.

- Powiedział swoim bratowym o sklepie, który chciałam otworzyć - mruknęła Karen cicho.

- Kochanie, jeśli nie był przy tobie, to cały czas o tobie opowiadał.

- A ja myślałam, że chce się ze mną ożenić, bo... bo poprosiłam go o pewną przysługę.

- Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktokolwiek tak szaleńczo się zakochał od pierwszego wejrzenia, jak Mac. Przyznał, że kiedy w swoim gabinecie spojrział ci w oczy, od razu stracił dla ciebie głowę.

- Ale czemu mi tego nie powiedział?

- Nie powiedział ci, że cię kocha? - spytała Rita ze zgrozą w głosie.

- Tak, wiele razy, ale...

Karen poderwała się z miejsca. Niewiele brakowało, a zdradziłaby matce Steve'a, że choć jej to mówił, ona mu nie wierzyła.

- Muszę lecieć - oznajmiła nagle. - Muszę... Och, Rito, tak bardzo ci dziękuję - powiedziała, ściskając entuzjastycznie starszą panią. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka jestem ci wdzięczna. Uczyniłaś mnie najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Muszę biec, powiedzieć Macowi...

Rita wybuchnęła śmiechem.

- No to biegnij! Na co jeszcze czekasz? Biegnij!

Ale Karen już nie było.